



# PRZEGLĄD KATOLICKI

POLISH CATHOLIC REVIEW

Registered by Australia Post — Publication No. VAR0762

*Ernestyna Skurjat*

## KONSTANCJA — — BABCIA KLERYCKA

OPOWIEŚĆ W ODCINKACH

POLISH CATHOLIC REVIEW — NOVEMBER, 1989 — JULY, 1990

**Ernestyna Skurjat**

# KONSTANCJA - BABCIA KLERYCKA

(OPOWIEŚĆ W ODCINKACH)

*Mojemu Ojcu — Nikodemowi  
z wyrazami miłości i podzięk*

## OD AUTORKI

Po raz ostatni widziałam babcię w Nowy Rok 1980 roku. Dziewięćdziesięcioletnia staruszka, od lat cierpiąca na reumatyzm, a od roku na sklerozę, leżała na łóżku spokojna, bezbronna, jakże inna od tej, którą znałszy. Ongiś była to kobieta o niezłomnej woli, silna, sroga, orędowniczka żelaznej dyscypliny. Motorem jej życia była niemal fanatyczna wiara w Boga, a naczelną zasadą działania — chrześcijańskie miłosierdzie.

Pierwszą połowę życia poświęciła dzieciom, drugą zaś — klerykom zmuszonym do odbywania służby wojskowej. W ciągu dwudziestu lat przez jej gościnny dom w Bartoszycach przewinęły się tysiące kleryków spragnionych dobrego słowa, matczynej ciepła. Jednym z jej wychowanków był ks. Jerzy Aleksander Popieluszko.

Dla nich była uosobieniem słodczy. Nas traktowała nieco inaczej. Baliśmy się jej przez długie lata. A teraz głaskam pomarszczoną, acz delikatną twarz staruszki. Jej bezbronność budziła we mnie nowe, nieznanne uczucie. Fascynowała mnie jej osobowość, lubiłam słuchać opowieści ojca o dawnych czasach. Teraz, kiedy jej dni były policzone, nagle zapragnęłam dowiedzieć się wszystkiego o jej życiu. Ale i mojemu ojcu pamięć zaczęła odmawiać posłuszeństwa. Podczas tego ostatniego z nią spotkania ojciec zadał pytanie, które dręczyło nas już od pewnego czasu.

— Czy mama pamięta, jak nazywa się ta wieś, gdzie ma się urodziła? — zaryzykował, choć przekonany był, że Konstancja zacznie mówić od rzeczy. Lecz ona spojrzała na nas zdumiewająco przytomnie.

— Toż ja urodziła się w Czyściku — odpowiedziała śpiewnym, białoruskim akcentem.

---

## CZĘŚĆ PIERWSZA

### WSZYSTKO DLA DZIECI

Jesienią 1907 roku Wincenty Skurjat wybierał się z wizytą do Czyścika. Zamierzał prosić o rękę dziewczyny, którą widział jeden raz.

Stremowany i przejęty grzebał gorączkowo w komodzie. Jak się ubrać na taką okazję? Założył koszulę, maniszkę (rodzaj żabotu z grubego płótna, przypinanego ozdobną spinką do kołnierzyka) i kołnierz. Nagle zasumał się. A co będzie, jeśli przyszedł teść, potraktuje go czarną polewką? Ot, uśmiełaby się moja gosposia, pomyślał, że kosza dostałem. Wstyd byłby na całą okolicę.

Przebrał się. Maniszkę, krawat i butelkę samogonu schował do myśliwskiej torby. Na ramiona zarzucił kurtkę i strzelbę.

— Jadę na polowanie — burknął do służącej i wymknął się z domu.

Wraz ze swatem ruszyli w drogę przez malownicze knieje. Były to rozległe lasy stanowiące własność hrabiego Platera. Wokół jeziora Drywiaty rozsiane były wioseczki zamieszkałe głównie przez ludność polską.

Wcześniej osierocony Wincenty, teraz już trzydziestoletni kawaler gospodarował samotnie we wsi Dukiele, w domu położonym tuż nad jeziorem. Czas było pomyśleć o żeniactwie. W czerwcu, podczas odpustu w Opsie, w barwnym, jarmarczonym tłumie Wincenty wypatrzył zgrabną, uroczą dziewczynę o piwnych oczach.

— Nie znam panienki. Panienka czyja? — zapytał zakochany od pierwszego spojrzenia. Postanowił, że właśnie ta, żadna inna, zostanie jego żoną.

— Ja od Giedziuniów — odrzekła sponioną i uciekła.

Teraz już Wincenty wiedział, gdzie szukać panny i kogo prosić o rękę. Po powrocie z odpustu zajął się gospodarką, ale o dziewczynie nie zapomniał. Rozpytywał okolicznych ludzi, kto zechce się Giedziunowie.

Adam Giedziun był gajowym hrabiego Platera. W zamian za dozór lasów miał prawo bezpłatnego mieszkania w gajówce i uprawiania przydzielonej ziemi, a także korzystania z wyznaczonych pastwisk.

Wincenty ze swatem, dojechawszy do gajówki, zatrzymali się na werandzie, oczyścili buty z błota, weszli do kuchni i zgodnie z obyczajem postawili butelkę samogonu na stole. Giedziunowie byli w komplecie: Adam z drugą żoną (pierwsza zmarła) oraz dziećmi z dwóch małżeństw. Szesnastoletnia Konstancja była córką z pierwszego małżeństwa.

Swat miał łatwe zadanie. Oświadczyły trwały krótko i przebiegły pomyślnie. Giedziunowa miała powody, aby pozbyć się pasierbicy. Zresztą i Adam nie potrzebował czasu do namysłu. Wincenty stanowił dobrą partię, miał dwadzieścia hektarów ziemi, cztery konie, zadbaną gospodarkę, w której prowadzeniu pomagało mu dwóch parobków; był zaradnym, dojrzałym człowiekiem, poważanym w okolicy. A że panna była za młoda? Księdzu powie się, że skończyła osiemnaście lat. Niech idzie za mąż, może na swoim będzie jej lepiej, myślał Adam.

Konstancja wiedziała, że wybór nie do niej należy. Słuchała rozmowy z mieszanymi uczuciami: z lękiem, z rezygnacją, z ciekawością. Na Wincentego patrzyła bez odrazy. Przystojny mężczyzna z wąsikami. Cóż, jak trzeba, to trzeba...

Giedziunowa zamierzała upiec dwie pieczenie w jednym ogniu. Chciała pozbyć się także drugiej pasierbicy.

— U nas ciasno. Może wzięlibyście Zosię do siebie?

Wincenty zgodził się bez namysłu. W jego domu było dużo miejsca. Konstancja rozpogodziła się. Więc nie będzie taka samotna. Zosięka będzie przy niej. Odejście w świat wydawało się mniej bolesne.

Ze ślubem nie zwlekano. Huczne, trzydniowe weselisko odbyło się jeszcze tej samej zimy. Młoda para zamieszkała w Dukielach, wsi zamieszkałej przez ponad dwadzieścia rodzin katolickich i trzy prawosławne.

Konstancji przypadł w udziale żywot dostatni i pogodny, choć wypełniony trudem i mozolem. Najtrudniejszy był początek. Pierworodna Anna (ur. w 1909 roku) i synek Wincenty (ur. w 1910) zmarły na dyfteryt, który w tamtym okresie zbierał bogate żniwo. Epidemii tę przeżyła tylko mała Julia (ur. w 1911 roku).

W ciągu kilku lat Skurjatownie dorobili się gospodarki bodaj najlepszej, najbogatszej w okolicy. Ale oto, gdy zdawało się, że wszelkie tragedie są za nimi, spotkał ich cios. W kwietniową noc 1914 roku rozpętała się straszna burza. Nikt z wyjątkiem Skurjatów nie spał. Ludzie byli ubrani, przygotowani na najgorsze. Ktoś zauważył złowieszczą jasność ponad domem Skurjatów. Kto żyw, biegł z wiadrami w tamtą stronę. A tymczasem już płonął chlew, krowy przywalone płonącymi belkami ryczały przeraźliwie. Stukano do drzwi Skurjatów. Pierwszy wstał Wincenty, wyrwany z głębokiego snu. Sądził, że to złodzieje dobrali się do szynki wiszącej na strychu ponad chlewem.

Nie było czasu do stracenia. Wybito szyby i zaczęto wynosić z domu wszystko, co się dało. Ale już niewiele było do uratowania. Wincenty pobiegł do chlewu, aby ratować bydło, ale siła płomieni rzuciła go na ziemię. Poparzonego odciągnięto w bezpieczne miejsce. Ogień trawił okoliczne domy. Ktoś pojechał do Belmont, majątku hrabiego Platera, aby sprowadzić straż pożarną. We wsi ogarniętej pożarem pojawił się i sam hrabia. Okręzał domy ze świętym obrazem w rękach.

Otępiała i załamana Konstancja siedziała w sadyzce.

Musieli zaczynać od zera. Pożar strawił wszystko, dom mieszkalny, zabudowania gospodarcze, prawie cały inwentarz i wiernego psa, który nie zdołał uwolnić się z łańcucha. Ocalała tylko jedna klacz, która tej nocy przebywała w stajni sąsiada oraz jedna kura, która nocowała w sadyzce na jabłoni.

Przez parę miesięcy małżonkowie mieszkali u krewnych. Do odbudowanego na prędkę domu wprowadzili się dopiero zimą. W tym domu, w wigilię Bożego Narodzenia powiła syna Nikodema. Był on zwiastunem lepszych czasów.

Budowa nowego, porządnego domu trwała aż pięć lat. Nazwano go domem „na dwa koncy” — po obu stronach przedzielonych sienią znajdowały się duże, jasne izby. Na budowę domu pożyczyl Wincentemu pieniądze nie kto inny, tylko hrabia Plater. Pracowity gospodarz szybko dorobił się i spłacił dług przed terminem. Hrabia był tym faktem bardziej zaskoczony, niż ucieszony.

Mijały lata, dobre lata. Na świat przychodziły kolejne dzieci: Emilila (1918), Feliks (1922), Teresa (1923) i Alfons (1926). Z wyjątkiem Alfonsa wszystkie przeżyły, chowały się dobrze i zdrowo.

Było to sielskie, beztrudne dzieciństwo. Działwa pływała łódką, łowiła ryby, jeździła na łyżwach i sankach, ujeżdżała konie, grała w siatkę i pałanta, przygrywała sobie na harmoszcze, śpiewała, tańczyła Lawonichę... Chłopcy, gdy podrośli, kradli ojcowską flintę i uciekali na polowanie na kaczki i zające. „O ile pamiętam, opowiada Feliks, ojciec upolował tylko jedną wronę. Nie, nie był złym myśliwym. Po prostu nie miał czasu na polowanie”.

Wikariusz z Brastawia skarcił kiedyś Konstancję, że nierregularnie pojawia się w kościele. Nie lubiała być krytykowaną, odcięła się krótko: „Ot, dzieci dużo, czasu mało”. Zaiste, opieka nad dziećmi zabierała wiele czasu. Nie można było spuścić oka z urwipolciów ani na chwilę. Ich życiu i zdrowiu ciągle coś zagrażało. Lista ich wybryków i przygód nie miała końca. Kiedyś mały Feliks w ojcowskiej czapce i butach utknął w dwumetrowej zaspie, skąd — z trudem odnalezionego — trzeba było odkopywać łopatą. Innym razem wjechał sankami do jeziora i wpadł pod lód; ledwie go odratowano. To znów Nikodem spadł z galopującego konia i złamał obojczyk... Ten sam Nikodem zostawił czteroletnią Emmilię na brzegu, a sam wybrał się na ryby dziurawą łodzią. Fala porwała go na pełne jezioro. Zaalarmowana przez córeczkę Konstancja wybiegła na brzeg, ale nie miała jak ratować syna, bo nie było żadnej łodzi. Wezwany na pomoc krewny rozbił drągiem kłódkę topornej łodzi wydrążonej z grubej belki i o jednym wiosle rzucił się chrześniakowi na ratunek.

„Wujek Narcyzy dogonił mnie — opowiada Nikodem — przesiadł się do mojej łodzi i kazał wlewać wodę czapką, którą ojciec podarował mi za ledwie na dwa dni przed tą wyprawą”.

Konstancja czekała na brzegu z różgą. „Dostałem lanie, ale bardziej niż bicia bałem się matczynego gniewu”. Wyczynom dzieci nie było końca. Pewnego dnia Nikodem obciął koniowi grzywę i już przymierzał się do obcięcia ogona — tak eleganckie konie widywał w majątku hrabiego — gdy dopadła go matka i spuściła lanie.

Była porywczą, ale klapsy na dziecinne poślądki padały dosyć rzadko. Wincenty, zwykle pogodny i zrównoważony, ręki na dzieci nigdy nie podnosił. Obydwoje rodzice starali się stosować najlepszą ich zdaniem metodę: dobry przykład. Nie rozpieszczali dzieci pochwałami, a kary stosowali rzadko. Niemniej jednak we wspomnieniach dzieci ojciec zachował się jako ten dobronudzny, zaś matka jako ta, która „ganiała nas po całej wsi z pasem, lała, a potem kazała długo się modlić”.

Dni powszednie Konstancji wypełnione były ciężką pracą i troską o dzieci. O świcie wstawiała doić krowy. Wincenty w tym samym czasie szykował karmę dla bydła. Krótko po nich wstawały starsze dzieci, których obowiązkiem było napoić krowy i konie. Młodsze dzieci budzono dopiero na śniadanie. Jedzenie było pożywne i w miarę urozmaicone: twaróg, mleko, jajecznica na szynce, w czasie postu placki kartoflane na oleju lnianym, raugienia (zakwaszony rozczyn z mąki żytniej) z grochem lub bobem.

Konstancja przestrzegała postu nader rygorystycznie. Gdy rodzinie pozwalała posilać się nabiąłem, sama spożywała tylko chleb; gdy oni jedli mięso, ona pozwalała sobie tylko na mleko.

W ciągu dnia, gdy dzieci były w szkole, a Wincenty w polu lub na targu, Konstancja robiła wełniane swetry na drutach, szyla na maszynie pościel z własnego płótna, albo obszerne burki z kapturem z samodziału. Co roku zabijano około 20 baranów; mięso zjadano, a ze skór szyto kozuchy.

Wieczorem gromadziła wszystkich wokół siebie i wspólnie odmawiano różaniec. Mało która wymówka była w stanie usprawiedliwić nieobecność któregoś z członków rodziny. Po różańcu rozpoczynały się uwielbiane przez wszystkich wieczory rodzinne przy lampie naftowej. Czasami, oprócz rodziny, uczestniczyły w tych wieczorach sąsiadki, które Konstancja wynajmowała do pomocy w przędzeniu wełny. Najbliższa przędzalnia znajdowała się w odległości 30 km, zatem Konstancja starała się uporać z wełną własnymi siłami, na miejscu. Julia tkła wtedy na krosnach, chłopcy cięli skórę na lejce i postronki, Wincenty reperował sieci albo wiązał liny konopne, a maleństwa spały na zapiecku. Śpiewano, czytano powieści, wspomniano stare czasy. Wincenty najchętniej opowiadał o tym, jak oddawał dług hrabiemu.

— No więc jadę do niego, oddaję pieniądze, wszystko co do grosza... schylam się do jaśniepańskiego mankieta z gębą pełną podziękowań, a on cofa rękę i co robi? To on *mnie* zaczyna dziękować. A ja na to, jaśnie panie, a dlaczegoż to wy mnie dziękujecie i oczy mi wychodzą na wierzch ze zdumienia... a on na to, jakże Wincenty, za co... a za to, żeś taki uczciwy i honorny... I tak ja jemu dziękuję, a on mnie... Myślałem, że się obaj zadziękujemy na amen.

Równie chętnie opowiadał o swym trudnym dzieciństwie. O tym, jak wstawał w środku nocy, aby młócić lln, albo młócić zboże cepem... a jeszcze przedtem trzeba było odśpiewać godzinki...

— Teraz to śpiewacie tylko w adwencie — spoglądał na dzieci z wyrzutem.

— I to nie zawsze — strofowała Konstancja.

Wieczeruszki były jej ulubioną formą rozrywki. Drąc pierze lub przędząc wełnę śpiewała, opowiadała barwnie o dawnych, pańszczyźnianych czasach, o historiach zasłyszanych i własnych. Pamięć miała wyborną, a język cięty. Miała niezwykły dar obserwacji i umiała go dobrze spożytkować w dowcipnych, często ironicznych komentarzach. Lubiła też słuchać. Książki fascynowały tę „niegramotną” kobietę. Na jej życzenie Julia lub Nikodem czytali powieści w cdcinkach na głos. Uwielbiała wszystko to, co było opowieścią o miłości do ziemi.

Surcwa w obejściu i nieco groźna w stosunku do najbliższych nieco inaczej była widziana przez krewnych i znajomych. Tym jawiła się jako siostra miłosierdzia, niosąca pomoc każdemu, kto jej potrzebował. Doğlądała chorych, odbierała porody, biednym podsyłała kosze pełne jada. Podczas I wojny światowej opiekowała się starszą siostrą Stefanią, która nie była w stanie wyżywić małych córeczek, bo w miastach panował wielki głód. Obcy ludzie przychodzili do Konstancji „jak do adwokata” z prośbą o pomoc lub interwencję u starosty brasławskiego, na którego miała wpływ poprzez jego żonę Ludę. Udawała się wtedy do miasta z naręczem pięknych kwiatów i wracała rozpromieniona, bo zawsze udawało się jej sprawy załatwić pozytywnie.

Nader ważną częścią życia Konstancji był kościół. Gdy już odchowała dzieci, nie opuściła ani jed-

nego nabożeństwa. W kościele przebywała godzinami. Opowiada krewna Eugenia: „Wincusiowa potrafiła przesiedzieć w kościele całą niedzielę i to na klęczkach. Często mówiła: a cóż to za modlitwa na stojąco”.

Syn Feliks wspomina: „matka zawsze wychodziła z kościoła ostatnia, a ojciec stał na zewnątrz i się denerwował. Kiedyś pamiętam, matka pokłóciła się z ojcem i poszła do kościoła na piechotę, a myśmy pojechali bryczką”.

Do kościoła w Brasławiu było 14 kilometrów, droga wiodła wokół jeziora; na skrót, przez zamknięte jezioro, było siedem kilometrów. Inny kościół znajdował się w odległych o 6 kilometrów Belmontach. Najczęściej przyjeżdżali Skurjatowie do pięknego i dużego kościoła w Brasławiu; Wincenty, jeszcze jako młodzieniec, brał udział w jego budowie.

Tylko w Wielką Sobotę Konstancja wybiegała z kościoła pierwsza i nakazywała szaleńczą jazdę do domu. „Pamiętam — wspomina Nikodem — jak matka krzychała gramoląc się pospiesznie do bryczki „musimy być pierwsi”. I lecieliśmy do domu na łeb na szyję, bowiem zgodnie z tradycją ten miał być najszybszy w robocie, kto najszybciej spożyje święconę”.

Nie była ani fanatyczką, ani dewotką. Ale w kwestii wiary była niezwykle gorliwa i pobożna. A od bliźnich wymagała tylko dwóch rzeczy: aby byli dobrzy i pobożni.

Nikt już dzisiaj nie pamięta, kiedy po raz pierwszy zaczęła opiekować się klerykami. Dzieci pamiętają, że matka „od zawsze” wspierała materialnie studentów seminarium duchownego w Wilnie. Zachowała się tylko jedna opowieść — opowieść o kleryku Herbaczewskim. Posyłała mu do Wilna paczki żywnościowe i pieniądze. Ku jej rozczarowaniu Herbaczewski studia teologiczne rzucił i... ożenił się. Zamienne, że winą obarczyła kobietę, która „biadaka” od stanu kapłańskiego odciągnęła. Konstancja jednak nie zraziła się. W dalszym ciągu wspierała studentów, którym jej pomoc umożliwiała kontynuowanie nauki.

Tymczasem w rodzinie Giedziunów zaszły istotne zmiany. Gdy Zosia i Tesia wyszły za mąż, stary Giedziun wraz z żoną i dziećmi z drugiego małżeństwa wyemigrowali do Ameryki. Zosia wkrótce zmarła. Stosunki z Tesią Stankiewicz mieszkającą w sąsiedniej wsi Dalekie układały się nienajlepiej. Między szwagrami często dochodziło do nieporozumień. Mąż Tesi próbował poprawić byt rodziny nieuczciwymi metodami. Skurjatowie często starali się pomagać krewnym, ale za każdym razem dochodziło do wniosku, że tamci próbują wystrychnąć ich na dudka.

Konstancja nigdy nie upominała się o dług. Na poniesione straty machała ręką. Złego słowa nie umiała powiedzieć, gdy po kolejnych wizytach Stankiewiczów nie mogła doliczyć się najlepszych ręczników i prześcieradeł, które tajemniczo zniknęły z szafy. Długo broniła swojej siostry, aż kiedyś nie wytrzymała i poskarżyła się mężowi.

— Że Kajetan to złodziej, to nie tajemnica. Ale że i Tesi ręce zrobiły się lepkie jak od dziegciu, tego pojąć nie mogę...

Wincenty upodabniał się do żony. Upominanie się o długi było poniżej jego godności. A bogaty gospodarz dłużników miał wielu... Był pracowity,

wał kawę zbożową. Nagle coś kosmatego z rykiem zważyło mu się na plecy. Chłopak pomyślał „miszka”, czyli niedźwiedź i zemdłał ze strachu. Później okazało się, że to żaden niedźwiedź, ale że to kolega ubrany w kozuch wywinęty na kosmatą stronę chciał splatać figła. Wincenty był w szoku. Płakał i błagał, aby zabrano go do domu. I tak oto edukacja jego zakończyła się po kilku zaledwie tygodniach.

Sam nauczył się pisać, czytać i rachować. Prenumerował i regularnie czytywał tygodnik „Głos ziemi”. Miał znakomitą pamięć, a liczył jak komputer. Leżąc na ławie i patrząc w sufit robił rozmaite obliczenia, które potem Nikodem — tak dla pewności — sprawdzał na papierze.

Marzenia Wincentego o porządnej edukacji dla dzieci rychło się spełniły. Władze wyraziły zgodę na otwarcie czteroklasowej szkoły dla licznej dziatwy z Dukiel, Miedynek, Szałteń i Krukowszczyzny.

W Dukielach pojawił się nauczyciel Feliks Koralkiewicz. Zwołał zebranie, na którym należało zdecydować, gdzie będzie mieściła się szkoła i gdzie będzie mieszkał nauczyciel. Szkoły chciał każdy, ale nie kosztem własnego komfortu. Wzrok zebranych kierował się ku Wincentemu. Czyż to nie on był najbogatszym gospodarzem? Czyż to nie on mieszkał w największej chałupie?

Ale w tym względzie decyzja należała do Konstancji. Zaszczyciona takim honorem i oczarowana Koralkiewiczem postanowiła, że w jej domu znajdzie się miejsce i na szkołę i dla nauczyciela. Nastąpiło wielkie przemeblowanie. Największe pomieszczenie przeznaczono na klasę. Mniejszą izbę oddano nauczycielowi. Za przepierzeniem obszernej kuchni urządzono sypialnię gospodarzy. W kuchni stały wielkie, szerokie ławy, na których spały starsze dzieci. „Drobnica” spała na zapiecku.

Nikodemowi przypadła w udziale rola woźnego. Chłopiec spał w klasie na składanym łóżku. Wstawał wcześniej rano, aby napalić w szkolnym piecu. Podobnie, jak wszystkie dzieci, tak i on był zauroczony Koralkiewiczem. Nauczyciel chętnie zaprzęgał konia i wioził małego Nikodema na lekcje religii do Brasławia; zostawiał chłopca w kościele, a sam szedł załatwiać jakieś sprawunki, na przykład kupować pomoce szkolne dla dzieci, które go o to prosiły. W czasie jednej z takich wypraw pan Feliks kupił chłopcu harmonijkę ustną i prosił, aby ten nie mówił ojcu, że to od niego.

Wszystkie kobiety były pod urokiem nauczyciela, a najbardziej Konstancja. Młody i nader elegancki mężczyzna był rozmowny, dowcipny, łatwo nawiązywał kontakt, dla każdego miał dobre słowo, dobrą radę, serdeczny uśmiech. W krótkim czasie zjednał sobie całą okolicę. Cenili go i gospodarze. Obrótny, pomysłowy, energiczny i „z głową na karku” Koralkiewicz umiał im poradzić, jak żyć i prosperować. Wincenty z zapartym tchem słuchał wszelkich rad i propozycji gospodarczych.

*(Ciąg dalszy w następnym numerze)*



umiał zarabiać i oszczędzać, ale gdy przyszło do porachunków z bliźnimi... wycofywał się, był zbyt honorowy, by upomnieć się o swoje.

Pod koniec I wojny światowej Adam Giedziun wrócił w rodzinne strony; żonę z dziećmi zostawił w Ameryce. Zamieszkał u Konstancji. Wnuk Nikodem przepadał za nim, pamiętał go jako dobrodusznego człowieka z poczuciem humoru. Dziadek nie umiał się gniewać, nawet wtedy, gdy młodec „wyprostował” mu młotkiem jego modne, amerykańskie okulary. Ale stosunki między teściem, a zięciem nie były najlepsze. Stary Giedziun chciał słyżyć dobrą radą, zaś Wincenty nie znośił, aby ktokolwiek wtrącał się w jego gospodarcze sprawy. Konstancja w duchu sympatyzowała z ojcem, ale głosu nie śmiała zabierać. Gospodarka, to była domena pana domu. Dzięki mądrości, która nakazywała pamiętać o podziale kompetencji, pożycie małżeńskie Konstancji układało się jak najlepiej.

Urażony w swej dumie Giedziun przeniósł się do drugiej córki. Ale stosunki z drugim zięciem były na tyle złe, że wkrótce rozpoczął starania o ponowny wyjazd do Ameryki. Do wyjazdu doszło dopiero po jakimś czasie, a to z powodu rodzinnej intrygi. Dokumenty, paszport, bilet i pieniądze Giedziuna zginęły z domu Stankiewiczów w tajemniczych okolicznościach. Wszystko z wyjątkiem gotówki odnalazło się po kilku tygodniach.

Giedziun wyjechał, stosunki ze Stankiewiczami zerwawszy. Pisywał wyłącznie do Wincentego, jemu zlecając załatwianie wszelakich spraw finansowych, jak np. kupno placu budowlanego lub też gotowego domu w Brasławiu, gdzie zamierza otworzyć sklep. Plany te nie doszły do skutku. W ostatnim liście Giedziun pisał o tym, że ma spore oszczędności i że syn Florian pracuje i dobrze zarabia w fabryce konserw oraz że kupił sobie nowy samochód.

W jakiś czas potem Skurjatowie pojechali do brasławskiego kościoła i jak zwykle wstąpili na pocztę odebrać listy dla siebie i sąsiadów. Tym razem otrzymali listki pisane ręką Floriana, który donosił, że ojciec zmarł. Dla Konstancji śmierć ojca na obcej, dalekiej ziemi była bolesnym ciosem.

✧ ✧ ✧

Na początku lat dwudziestych mieszkańcy Dukiel rozpoczęli energiczne starania o otwarcie „prawdziwej polskiej szkoły z polskimi świadectwami”. W najbliższej okolicy było niewiele: gimnazjum i szkoła siedmioklasowa w Brasławiu oraz kilka czteroklasówek w sąsiednich wsiach. Otwarcie szkoły w Dukielach wymagało ofiarności i dobrej woli mieszkańców: przede wszystkim należało zapewnić lokal na szkołę i zakwaterowanie dla nauczycieli. Władze gminne partycypowały w niewielkim stopniu, np. dostarczały opału.

Nauczycieli było wówczas niewielu. Wprawdzie cieszyli się oni ogromnym szacunkiem społecznym, ale ich sytuacja materialna nie była najlepsza; zarabiali 50 złotych miesięcznie. Wieśniacy z reguły wynagradzali ich darami w naturze.

Wincentemu, chyba bardziej niż innym zależało na tym, aby jego dzieci miały szansę nauki, którą on sam kiedyś zaprzepacił. Gdzieś w roku 1884 wysłano go, jako jedyne syna, do carskiej szkoły w Brasławiu. Wraz z innymi chłopcami mieszkał na stacji. Pewnego dnia, wczesnym rankiem przyświecając sobie łuczywem rozpałał w piecu, aby ugoto-

## KONSTANCJA - BABCIA KLERYCKA

(OPOWIEŚĆ W ODCINKACH)

Nauczyciel chętnie spędzał czas wolny przy pracach polowych. Kiedyś Wincenty, speszony pomocą Feliksa zaproponował mu zapłatę, ten wybuchnął śmiechem. „A co to ja, parobek? Mnie płacić nie będziesz”. I pomagał dalej, i odejść od Skurjatów nie chciał, nawet na okres wakacji. Być może Wincenty już wtedy zaczął się domyślać, że Feliks i Konstancja są nieprzytomnie w sobie zakochani. Lecz nie reagował. Nie reagował nawet wtedy, kiedy Feliks zapraszał swoich braci z Łotwy na zimowe wakacje do Dukiel.

Nie tylko Wincenty, ale i inni gospodarze wręcz ścigali się w wyświadczeniu różnych przysług nauczycielowi, jak np. w zwózce materiałów budowlanych. Koralkiewicz, finansowo wspomagany przez swego ojca — gospodarzącego na czterdziestu hektarach na Łotwie — zaczął budować drewniany, parterowy dom w Brasławiu. Przez parę lat mieścił się tam szpital. Na tej samej parceli stanął wkrótce jeszcze jeden dom. Feliks zaczął namawiać Wincentego, aby zbudował własny dom na przyległej parceli; „pamiętaj, to dobra inwestycja”, mawiał i dodawał „zawsze musi być ruch w interesie... Zbudujesz, potem wynajmiesz, a za pieniądze z dzierżawy wybudujesz coś nowego, albo wydzierżawisz folwark i ani się obejrzyysz, a będziesz bogaty”.

Dzieci w wieku szkolnym było coraz więcej. Trzeba było zatrudnić jeszcze jednego nauczyciela. W gościnnym domu Skurjatów zamieszkał nowy nauczyciel Alfons Urbanowicz. Wyprowadził się do innych gospodarzy dopiero po jakimś czasie, gdy sprowadził do Dukiel swoją siostrę.

Serdeczne stosunki Skurjatów z nauczycielami trwały przez wiele lat. Obydwaj trzymali dzieci Konstancji i Wincentego do chrztu. Letnie wieczory spędzali razem na werandzie osłoniętej pnączami i bujnymi malwami. Śpiew Konstancji, której Koralkiewicz akompaniował na gitarze, a Urbanowicz na białej, rozlegał się po całej wsi.

Gdy po kilku latach władze przeniosły szkołę do wsi Szaltenie, Urbanowicza przeniesiono do Borozienicz pod Widokami. Nie było to daleko i nauczyciel chętnie i często przyjeżdżał w goście. To dzięki jego namowom najstarszą Julię wysłano do piątej klasy w Wilnie; mieszkała na stacji u rodziców Urbanowicza. Tymczasem Koralkiewicz rzucił zawód nauczyciela. Zakochany w czterdziestoletniej, obarczanej dziećmi mężatce nie wiedział, co z sobą począć. W owych czasach mowy o rozwodzie być nie mogło. Zresztą dla Konstancji rodzina to była rzecz święta. Męża szanowała i chciała być w stosunku do niego lojalna; dzieciom chciała poświęcić się bez reszty.

Koralkiewicz poznał zamożną pannę ze wsi Czyścik, gdzie urodziła się Konstancja, ożenił się i osiadł na gospodarce. Skurjatów odwiedzał często w drodze do miasta. Zawsze sam, nigdy z żoną, której podobno nie kochał.

Ślub ukochanego Konstancja przeżyła strasznie. Opowiada wnuczka Lola: „Mama mówiła, że babcia bardzo często wspominała Koralkiewicza. Gdy się żenił, strasznie płakała i nawet nie kryła tego przed wsią... Powód do plotek był niemały”.

Po Koralkiewiczu zostały tylko wspomnienia (bo i wizyty po jakimś czasie ustały), modne „miastowe” meble i... gitara. Wyprowadzając się zabrał tę gitarę. W jakiś czas potem, wczesnym rankiem, w kuchni, gdzie krzątała się Konstancja, pojawił się znajomy Żyd z gitarą w ręku. „Pan nauczyciel prosił, aby dać gitarę Julce do rąk własnych” — powiedział. Konstancja wysłała go do sypialni, gdzie spała jej córka.

I tak oto gitara stała się własnością Skurjatów. Przez długie lata grywały na niej dzieci zarówno w domu, jak i na wiejskich zabawach.

Po Koralkiewiczu została też jeszcze dewiza „musi być ruch w interesie”. Wincenty przekonał się, iż procentowała ona należycie. Kupił w Brasławiu plac i zbudował dom, w którym przez dość długi czas mieściła się przychodnia lekarska. Przy budowie pomagali krewni, pomagał 14-letni Nikodem. Ciężka to była praca. „Ojciec ładował wóz cegłą i wyprawiał mnie w drogę. Droga była wyboista, wóz się przekrzywił, cegła spadała. Ileż to razy, że żaśnie, a wtedy rozszarpia go wilki. Przerażony i kompletnie wyczerpany jakoś dotarł do domu. Matka wysłuchała opowieści syna, po czym z uznaniem skinęła głową i powiedziała: „Niejeden starik miałby stracha. Ot, zuch chłopak”.

Mało kiedy chwaliła swoje dzieci. Nikodem chodził dumny przez kilka tygodni. Szesnastoletniego Nikodema zawiozła matka do Opsy i zapisała do szkoły rolniczej. Radość jego trwała tylko kilka miesięcy. Musiał przerwać naukę i wracać do domu, aby umożliwić Julii wyjazd do Wilna na kurs tkacki. Fachowe tkactwo było w tych okolicach nowością, zawodem tak potrzebnym i atrakcyjnym, że rodzice postanowili szkolić córkę kosztem „następcy tronu”. Julia była uzdolniona, kurs ukończyła z wyróżnieniem. Wyjeżdżając z Wilna kupiła grzebień do „trania” o szerokości ponad półtora metra. Po powrocie do domu poinstruowała miejscowego stolarza, jak zbudować duże krosna. I w ten sposób została jedyną w okolicy producentką kilimów, serwet i obrusów tak bardzo poszukiwanych, zwłaszcza na posag.

Wincenty w dalszym ciągu dzierżawił sady hrabiny Elżbiety Platerowej. Po śmierci hrabiego, około 1924 roku, Platerowa sama zajmowała się nadzorem majątków. Wincenty często spotykał ją biegnącą po polu w sznurowanych trzewikach z wykrzywionymi obcasami. Uskarżała się, że zbyt wiele podatków ma do płacenia, że administratorzy ją okradają, że nie daje sobie rady. Wyszła powtórnie za mąż, za starostę brasławskiego Mikulicza. Był to o wiele młodszy od niej hulaka, który resztki jej fortuny przepuszczał w Zakopanem.

Sady Wincenty dzierżawił na spółkę z krewnymi oraz synami. Pa jakimś czasie „klan Skurjatów” zaczął również dzierżawić rynki zbożowe, bydłęce i warzywne oraz rzeźnię w Brasławiu i Widzach. Cena wywoławcza za dzierżawę targu zbożowego wynosiła 7 tysięcy złotych, bydłęcęcego tyleż samo, a rzeźni — 2 tysiące. W roku 1932 klan Skurjatów wygrał przetarg i wpłacił kilkanaście tysięcy kaucji dzierżawnej. Niełatwo było zgromadzić taką astronomiczną sumę. Wincentemu zabrakło 500 złotych. Pażyzył je od Polaka, który po kilku latach pracy w kopalni we Francji zgromadził spore oszczędności. Była to pożyczka na 10%. Wincentemu zdawało się, że to zdzierstwo. Robił wszystko, aby dług spłacić jak najszybciej. Lubił dawać, nienawidził być dłużnym. Pod tym względem Konstancja była taka sama. Cechę tę zaszczepili swoim dzieciom, a pośrednio i wnukom.

Synowie Nikodem i Feliks sprzedawali bilety wstępu na rynki. Za pracę swoją otrzymywali od ojca po dwa złote dziennie. Uczyli się oszczędzać i dysponować własną gotówką.

Dzierżawa targów i rzeźni trwała zaledwie kilka lat. Konkurencja była coraz większa. Z Francji i Ameryki wracali emigranci zasobni w gotówkę i podbijali ceny na licytacji. Dodatkowym powodem, dla którego Wincenty zaniechał dzierżawy, był alkoholizm jego bratanka-wspólnika. Po zamknięciu targu bratanek regularnie „zapadał się pod ziemię” i pił. Trwało gorączkowe poszukiwanie w okolicznych gospodach. Pewnego zimowego dnia czekano na bratanka wyjątkowo długo; słońce przygrzewało i lód na jeziorze zaczynał topnieć. Trzeba było jak najszybciej ruszać saniami w drogę powrotną. Ostatecznie bratanek odnalazł się i z trudem wtoczył się na sanie. Na brzegu jeziora lodu już nie było. Woda po kolana. Trzeba było konie i sanie wprowadzić na taflę lodu. Skurjatowie z przerażeniem słuchali złowieszczygo syczenia lodu, a pijany bratanek śpiewał bez troski: „do świadania, oziara, do świadania”.

Tak więc dzierżawy zaniechano.

Zarządca majątku Pauliny Światopełk-Mińskiej powiedział kiedyś Wincentemu, iż nadarza się okazja wydzierżawienia 80-hektarowego majątku w Widokach za przystępną kwotę 700 złotych rocznie. Folwark zauroczył Skurjatów: położony był na malowniczym wzgórzu, z jednej strony zadrzewionym, a z drugiej dającym widok na całą, niżej położoną okolicę. Zabudowania były ładne i obszerne, choć zaniedbane przez poprzedniego dzierżawcę. Ziemia wyjątkowa, budynki zniszczone, dachy dziurawe. Właścicielka obiecała pokryć koszty remontu.

W Widokach, o 15 km odległych od Dukiel, zamieszkała na razie osiemnastoletni Nikodem. Reszta rodziny wprowadzała się stopniowo, w miarę posuwania się remontu. Część ziemi uprawiano własnymi siłami, resztę oddano w „zapaskę”.

Komunikacja między Widokami a Dukielami była męcząca, ale nie pozbawiona humoru. Pewnego dnia Konstancja spotkała na trasie znajomego, który o dzierżawie folwarku jeszcze nic nie wiedział.

— A dokąd to z tymi workami, *barysznia?* — zapytał znajomy.

— A do domu — odpowiedziała Konstancja, mając na myśli Dukiele.

— No tak, a skąd, jeśli można zapytać?

— A no z domu — odpowiedziała mając na myśli Widoki.

— Nie rozumiem — dziwił się znajomy. — Co za głupota wozić worki z domu do domu...

Skurjatowie coraz rzadziej bywali w komplecie. Jeździli jak Cyganie. Najbardziej chyba ruchliwy w tych czasach był Nikodem. Matka pragnęła ułatwić mu życie i na jej prośbę Wincenty kupił synowi rower. Był to pierwszy w okolicy rower i na jazdzie nim czekała zawsze długa kolejka rodzeństwa, krewnych i znajomych.

Ten szczęśliwy i betroski okres w życiu rodziny zakłóciła nieoczekiwana tragedia. Najmłodszy, siedmioletni Alfons zachorował na zapalenie szpiku kostnego w kolanie. Był to ból nie do zniesienia. Matka wiozła synka do lekarzy, wypróbowała coraz to inne leki. Nic nie pomagało. Konstancja spędzała z konającym synkiem każdą chwilę. Pewnego dnia mały Alfons poprosił, aby położyć go w stodole. Opiekował się nim Nikodem. „Matka poszła gotować, a ja siedziałem z małym. Nagle przestał jeść. Zmarł. Przerażony pobiegłem do matki. Rozpacz była straszna. Żałoba panowała długo. Przez pół roku matka nie pozwalała nam grać na gitarze”.

W roku 1936 zmarła Paulina Światopełk-Mińska. Spadkobiercy postanowili sprzedać majątki w Widokach, Zajnowie i Koncynowie. Skurjatom przysługiwało prawo pierwokupu najlepszej ziemi i zabudowań. Sprzedali zatem całe bydło z wyjątkiem jednej krowy i za uzyskaną gotówkę kupili dom, zabudowania i 15 hektarów ziemi. Podział chłopskiego „imperium” między dzieci miał być następujący: Feliks odziedziczył Widoki, Dukiele będą przeznaczone dla Nikodema; dom w Brasławiu przypadnie Emilii i Teresie, wiano Julii miały stanowić dwie dziesięciny ziemi oraz fundusze wpłacone ongiś na cptacenie kursu tkackiego w Wilnie.

✧ ✧ ✧

Małżeństwo Konstancji było udane, ale szczęścia jej nie dawało. Jedyne sens i radość życia stanowiły dzieci. Przerażała ją myśl, że pewnego dnia zostanie sama, bo dzieci dorosną i pójdą własną drogą. Zaborcza i despotyczna, denerwowała się, że dwójka najstarszych wymyka się spod jej kontroli. A przecież była towarzyska i lubiła młodzież. W jej domu często odbywały się potańcówki. Sama w zabawie nie uczestniczyła, ale czasem, dla towarzystwa, kieliszek wódki wypijała. Żartowała, ba, kpiła i niejeden bał się „ciętego języka Skurjacichy”. Ale kochano ją i jej legendarną gościnność.

Nader niechętnie puszczała dwójkę dorosłych dzieci na zabawy poza domem. Julia miała już dobrane po dwudziestce i według ówczesnych kryteriów była już starą panną. Mimo to pozwalała wyjść Julii z domu tylko z Nikodemem w roli przyzwoitki. Rodzeństwo wrywało się zatem na zabawy w tajemnicy przed matką i wracało do domu nad ranem. Następnego dnia Konstancja chodziła nadąsana i nie odzywała się do winowajców. „Wolelibys-

my — opowiada Nikodem — aby nas porządnie skrzyżowała, bo to jej milczenie było straszne". Ale skrucha i poczucie winy mijały... przed kolejną zabawą.

Nikodem romansował wówczas z Olgą, córką prawosławnych sąsiadów. Tą znajomością Konstancja niewiele się przejmowała. Mimo zgodnego współżycia katolików z prawosławnymi mowy o małżeństwie „mieszanym” być nie mogło. Zatem o Nikodema była spokojna. Niepokoiła ją za to perspektywa zamążpójścia Julii. Piękna panna miała wielkie powodzenie. Była bardzo wysoką, smukłą dziewczyną o urzekającym, szczerym spojrzeniu, z ciemnymi włosami modnie i starannie ułożonymi; miała okrągłą twarz i zadarty nos. Ubierała się skromnie, ale modnie i gustownie. W obyciu była niezmiernie miła, pełna prostoty, wesoła, towarzyska, dowcipna jak matka. Chętnie pomagała bliźnim. Jako najlepiej wykształcona we wsi panna pisywała ludziom pisma, listy i podania. Nie tylko piękna i uczynna, ale i wszechstronnie utalentowana.

W Borodzieniczach znajdował się prowadzony przez nauczyciela Gaurę amatorski teatr, w którym Julia i Nikodem grywali główne role. Konstancja była dumna, iż jej dzieci są artystycznie uzdolnione, na próby pozwalała jeździć, ale na przedstawienie nie pojechała ani razu. „Taka rozrywka to tylko dla młodych” — mówiła.

Ulubionym zajęciem Julii było tkanie obrusów i kilimów nie tylko na potrzeby domowe, ale i dla panien na wydaniu. Często była zapraszana na huczne wesela swoich kuzynek i przyjaciółek. Dwudziestosiemioletnia stara panna była coraz bardziej rozgorączkowaną. Cudze wesela... A kiedy będzie jej własne? Dlaczego matka przeganiała kolejnych kandydatów do jej ręki?

Każda kłótnia i awantura kończyła się słowami matki: „I na co ci wychodzić za mąż? Gdzie ci będzie lepiej, jak w domu? Brakuje ci tu czego?”

Uważała, że wie lepiej, czego jej dzieciom potrzeba do szczęścia.

Przez sześć lat Julia spotykała się potajemnie z Franciszkiem Błudzinem. Był to niezwykle miły i przystojny młodzieniec, który pięknie grał na harmonii. Po odbyciu służby wojskowej oświadczył się o rękę Julii. Konstancja nie chciała o niczym słyszeć. Wincenty prosił ją i przekonywał, błagał o litość nad córką. Lecz matka była nieugięta. Ostatecznie Franciszek ożenił się z inną panną, po wojnie osiedlił się na Mazurach, gdzie po ukończeniu studiów pracował jako inżynier leśnik.

Stara panna coraz częściej groziła matce, że pewnego dnia i tak wyjdzie za mąż — z matczynym błogosławieństwem lub bez. Rozsierdzona Konstancja rzucała klątwy na córkę „kab ty za moją trumną nie szła”. Dziwnym zbiegiem okoliczności klątwa ta spełniła się w przyszłości: Julia zmarła wcześniej niż jej matka...

Tymczasem w Julii zakochał się jej szkolny kolega Alfons Szulia. Teraz on próbował szczęścia w negocjacjach z upartą matroną. Przyjechał do Dukiel z zamiarem oświadczenia. Konstancję zastał w polu. Szarmancko, a z szacunkiem pokonił się przyszytej teściowej.

— Szczęść Boże. Dobry wieczór, pani Skurjatawa.

Konstancja w mig domyśliła się celu wizyty.

— A pocałuj mnie w d( . . . ) — odpowiedziała dosadnie, przekonana, iż odstraszy i tego kandydata.

Alfons obraził się. Poprzysiągł, że jego noga nigdy już nie postanie w domu Skurjatów. Julia była załamana. Brat Nikodem dobrze rozumiał udręk siostry. Którejś niedzieli zabrał Alfonsa po mszy św. na stronę i powiedział, że Julia oczy wyplakuje. Wzruszony jej reakcją, wciąż zakochany zaczął widywać się z nią potajemnie.

Julia zdobyła się na odwagę, aby jeszcze raz poruszyć kwestię ślubu. Matka była wciąż nieugięta. Sypała argumentami jak z rękawa. Wieś Krukowszczyzna, skąd pochodził Alfons, to „zapadła dziura”, a narzeczony to „prostak” i „biedak”. Związać się z takim znaczyłoby zaczynać pracę od podstaw, poczynając od budowy domu i pieca.

— I na co ci do Krukowszczyzny? Ręce brudzić? Hlinu miasić?

— Wyjdę za niego i budu hlinu miasić. To już postanowione.

— Tylko spróbuj, tylko spróbuj — szantażowała ją matka. — Spakuj swoje manatki, zostawię was wszystkich i w świat sobie pójdę.

— Kościa, durna ty — wtrącił się Wincenty. — Co tobie na rozum padło? Opamiętaj się.

Powiedział córce, żeby dała na zapowiedzi i że on chętnie ich pobłogosławi. Konstancja nie dawała za wygraną.

— Ślub możecie sobie brać. Ale błogosławieństwa nie dam i wesela nijakiego nie wyprawię.

W dzień ślubu, przed wyjazdem do kościoła, państwo młodzi podeszli do Konstancji w nadziei, że w tej ostatniej chwili nie odmówi im błogosławieństwa. Odmówiła, co więcej — groziła.

— Pamiętaj, jak wyjdiesz za niego, słońce ci zgaśnie na całe życie.

Zabrzmiało to jak klątwa. Słyszeli to wszyscy Skurjatawie i oczy mieli pełne łez. Furia Konstancji poraziła tych, którzy mieli jechać z młodymi do kościoła: i ojca i Nikodema, którym miał być świadkiem.

Małżonkowie osiedli w Krukowszczyźnie, na majątku, dziesięciohektorowej gospodarce. Zbudowali sobie dom. Alfons przez długi czas unikał spotkania z teściową. Ilekroć była o niej mowa, kręcił głową i powtarzał: „Łutsze w morie utopitsia, czto b s Skurjacyjchoj poženitsia”.

Ledwie Konstancja pogodziła się ze „stratą” najstarszej córki, a już zaczęła się martwić o to, że dom pełen jest zalotników starających się o rękę Teresy, jej ponad wszystko ukochanej, najmłodszej córki. Był to szesnastoletni podłotek o bujnych, wijących się włosach i oczach roześmianych, a czarnych jak węgiel. Jednym z jej wielbicieli był Justyn Wierciński. Zdawał on sobie sprawę, że kocha ją bez wzajemności, bo ta żywa jak ogień panna potajemnie wzdycha do Feliksa Krywiela. Justyn zaczął prosić Nikodema o wstawieństwo u siostry.

Rozmowa odbyła się podczas pamiętnej zabawy po odpuście w sierpniu 1939 roku. Hulano w Wiodkach pod nieobecność rodziców przebywających w Dukielach. Wszyscy bawili się wesoło do samego rana z wyjątkiem Justyna i Nikodema. Obaj młodzieńcy poszli — wraz z butelką samogonu — porozmawiać spokojnie w wozowni. Przebrali miarę i nie rozwiązawszy problemu zlegli w sianie.



„Pamiętam tego kaca — wspomina Nikodem. — Czulem się fatalnie i ledwie doszedłem do siebie, ogłoszono mobilizację”. Pewnego dnia Feliks przyjechał do Widoków na rowerze i przywiózł bratu kartę mobilizacyjną. Nie było czasu do stracenia. Pożegnanie z rodziną, krewnymi i przyjaciółmi było szybkie i smutne. Oto spadkobierca, następca gospodarza szedł na wojnę. Krewnie żałośnie zawodziły. Tylko rodzice zachowali pełne godności milczenie i spokój, choć ból rozstania — może na zawsze — rozdzierał im serca. Matka pobłogosławiła syna. Ojciec spojrzął na wpół skoszone łany.

— Bij Niemców. Ale wróć. Świat się zmienia i polityka się zmienia. A ziemia, jak zawsze, chce rodzic. Trzeba ją uprawiać. Pamiętaj, wracaj, bo ta ziemia na ciebie czeka.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności Nikodem wrócił w rodzinne strony nadspodziewanie szybko. Podczas kampanii wrześniowej jego oddział walczący w rejonie Warszawy uległ rozbiciu i rozproszeniu. Wraz z kilkoma żołnierzami postanowił wracać na Wileńszczyznę. Przebywał jakiś czas w sowieckiej niewoli, z której udało mu się wydobyć. Wrócił do domu na krótko przed straszną, rodzinną tragedią — właśnie wtedy, kiedy był tu najbardziej potrzebny.

To, co nastąpiło potem, było początkiem końca — upadkiem gospodarki, rozproszeniem rodziny.

Święta Bożego Narodzenia rodzina planowała spędzić w Dukielach. Przy wigilijnym stole miało zabraknąć tylko Konstancji, która pilnowała gospodarki w Widokach. Lecz stało się inaczej. Na trzy dni przed Wigilią Wincentemu wbiła się drzazga w lewe ramię. Ręka bolała i gwałtownie puchła. Konstancja chciała zawieźć męża do lekarza. Lecz chłop, jak to chłop, chorobę zlekceważył. „Toż nie belka, tylko drzazga”. Przyszła *babula* i zamówiła; twierdziła, że to róża. Nie pomogło. W dzień wigilijny Wincenty leżał w łóżku z gorączką i majaczył. Gdy zabłyśta pierwsza gwiazda, zebrał resztki sił, aby podzielić się z dziećmi opłatkiem. Córki robiły mu okłady, ale gorączka nie spadała. Trzeba było podjąć męską decyzję. Nikodem wysłał Feliksa do krewnych o pomoc i radę; Emilie wyprawił do Krukowszczyzny, aby sprowadziła Julię; Alfons miał zaś pojechać do Widoków, aby sprowadzić Konstancję; Teresa miała czuwać przy ojcu. Sam zaś Nikodem pojechał do Brasławia, aby sprowadzić lekarza.

Opowiadał, że tej upiornej, nocnej jazdy przez jezioro nie zapomni do końca życia. Łódź był kruchy, tu i ówdzie tworzyły się szczeliny. Gdy dotarł do lekarza, ten powiedział, iż nie może jechać do chorego, zatem chorego należy przywieźć do szpitala. Nikodem pojedynkował się z czasem, jak szalony gnał przez jezioro. W połowie drogi spotkał kuzyna. Smutna to była wieść: ojciec konał. Zrozpaczony Nikodem zawrócił znów do miasta, tym razem po księdza... Właśnie rozpoczynała się pasterka. Trzeba było czekać. W kościele nastrój uroczysty. Tłum wiernych pełną pierś śpiewał „Bóg się rodzi”. Nikodem płakał jak dziecko, „a mój ojciec umiera”. Koszmarne było to uczucie niemocy.

Po nabożeństwie ksiądz oświadczył, że nie może opuścić miasta nie odmeldowawszy się u władz. Ruszyli w drogę dopiero po pół godzinie. W połowie drogi spotkali tego samego kuzyna.

— Wracaj do Brasławia... po gwoździe do trumny.

Nikodem zawrócił po raz trzeci. Biegał po nocy po znajomych Żydach, aby kupić gwoździe i atlas do wycielenia trumny. Gdy wrócił do domu, zastał matkę załamną i bezradną. To krewni spełniali wszelkie posługi. Jedni modlili się i śpiewali, drudzy odlewali świecę, jeszcze inni zbijali trumnę. Rano zgłosili się chętni do kopania grobu.

Wincenty zmarł w pełni sił i zdrowia. Miał zaledwie 62 lata. Wszelka odpowiedzialność za rodzinę i gospodarkę spadła teraz na Nikodema. Konstancja przez długi czas nie mogła dojść do siebie. Ta nagła zmiana w jej życiu spowodowała, że grunt usunął się jej spod nóg. Brakowało Wincentego — człowieka, którego szanowała, bo był dobrym ojcem, zaradnym gospodarzem, szlachetnym człowiekiem, filarem, na którym opierał się byt i dobrobyt rodziny.

Wojna i śmierć Wincentego poczyniły ogromne spustoszenie w gospodarce i miały bezpośredni wpływ na dalsze losy rodziny. Do wydzierżawionych komuś Widoków zagładano coraz rzadziej. Dochód był mały, a podatki nieproporcjonalnie wysokie. Podczas wojny uzbrojone bandy rozebrały i rozkradły zabudowania gospodarce. Nawet po zakończeniu wojny Konstancja nie starała się o odszkodowanie, borykała się z poważniejszymi problemami.

Gospodarka w Dukielach funkcjonowała trochę lepiej. Konstancja, choć o wiele uboższa, była po dawnemu gościnna. „Zaganiała” do stołu każdego gościa, każdego przybysza. Do jedzenia wręcz zmuszała. Pod jej dachem znajdował schronienie każdy bezdomny. Przez pewien czas mieszkał u niej leśniczy Marcinkiewicz z rodziną. Krewni upredzali ją, że to źli ludzie. Okazało się, że to prawda. Konstancja nie mogła dojść do ładu ani z Marcinkiewiczem, ani z jego napuszoną, niemiecką żoną, ani z ich rozwydrzonymi dziećmi. Tolerowała to, ale pewnego dnia straciła cierpliwość: gdy leśniczy wyprawił huczny bał w domu żałoby. Natychmiast wymówiła im mieszkanie.

Nastrój żałoby panował w domu jeszcze długo. Zima 1940 roku była nader mroźna. W sadzie wymarzło 120 drzew. Przetrwaly tylko cztery jabłonie. Nikodem z Feliksem wycinali martwe pnie mówiąc do siebie: żałoba w domu i żałoba w sadzie...

Konstancja ocknęła się ze swojej apatii i z niezwykłym przypływem energii ponownie przejęła ster rządów. Wtedy właśnie ujawniła niezwykły talent organizatorski w sprawach czysto gospodarczych. Życie — na tyle, na ile to było możliwe — wracało jakby do normy. Latem 1941 roku Konstancja pojechała z najstarszym synem na odpust do Słobódki. Po nabożeństwie radosny i strojny tłum wiernych wyległ na jarmark. Nagle na platformę wozu wspiął się sowiecki oficer, poinformował zebranych, iż Niemcy dokonały inwazji na Rosję i kazal rozejść się do domów.

Wojna wojną, ale życie wieśniaków toczyło się na razie niezakłóconym rytmem. Starsi Dukielczanie pracowali na roli, dzieci chodziły do szkoły, która tym razem mieściła się w domu Popakulów mieszkających nieopodal Skurjatów. We wrześniu 1942 roku pojawiła się w Dukielach nowa nauczycielka, przyszła żona Nikodema. Nie tak wojna doskwierała Konstancji, jak miłość tych dwojga.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

## KONSTANCJA - BABCIA KLERYCKA

(OPOWIEŚĆ W ODCINKACH)

Weronika była córką Aleksandra Juchniewicza ze wsi Zaracze, byłego wójta brasławskiego i bratanicą Konstantego, byłego posła na sejm. Uczęszczała do gimnazjum w Drui. Początkowo uczyła w szkole niedaleko Dryświat, potem dostała przeniesienie do Dukiel, gdzie zamieszkała u swych krewnych Tołczków, którzy byli także spowinowaceni ze Skurjatami. Weronika była świetną partią. Konstancja robiła wszystko, aby znajomość syna z nauczycielką nie zakończyła się małżeństwem. Śledziła ich każdy krok, wykrywała każde miejsce schadzek.

Młodzi umawiali się na spotkania za pośrednictwem małej uczennicy, o której Konstancja wiedziała i którą przezywała Czerwonym Kapturkiem. Pewnego dnia śledząc syna Konstancja dotarła do klasy, gdzie już czekała Weronika. Wpadła jak burza z krzykiem „nie zabierzesz mi mojego syna”, po czym zaczęła okładać Weronikę różgą. Nikodem skoczył i rozdzielił obie kobiety. „Z łatwością odebrałem matce różgę, ale jej gadania nie byłam w stanie pohamować”.

Weronika, nie mniej bojowa i uparta od Konstancji, postanowiła stawić czoła przyszłej teściowej. Chciała przeprowadzić z nią poważną rozmowę. Nie było to łatwe, bo Konstancja celowo jej unikała. Taką już była Skurjatowa, że jak nie chciała z kimś rozmawiać, to dosłownie przed nim uciekała — a trudno było gonić matronę po całej wsi nie narażając się na pośmiewisko. Sprytna Weronika znalazła stosowny moment: przydybała Konstancję na strychu podczas czesania lnu. Zagroziła jej drogę odwrotu i zaczęła mówić. Co mówiła, jak argumentowała, nikt nie wie, nawet Nikodem. Weronika znała historię romansu Konstancji z Koralkiewiczem od swych krewnych; być może próbowała przypomnieć Konstancji, jak czuje się zakochana kobieta, która nie może zdobyć swego ukochanego...

Negocjacje zakończyły się najwidoczniej fiaskiem. Młodzi postanowili pobrać się mimo oporu matki. Czerwiec 1943 roku nie był odpowiednim czasem na huczne wesela. W dzień grasowali Niemcy, a w nocy bandy wszelakiego asortymentu. Planowano zatem cichy, skromny ślub. Tuż przed wyjazdem do kościoła Nikodem chciał jeszcze raz poprosić matkę o błogosławieństwo. Skurjatowa starym zwyczajem zaszyła się w ogrodzie. Gdy znalazł ją tam, nie chciała z nim nawet rozmawiać. Z ciężkim sercem ucałował jej rękę i wrócił do czekającego nań družby i szwagra. Alfons spojrzał nań współczującym wzrokiem. „No cóż, trudno. *Pajechali*”.

Skromne przyjęcie dla grupki znajomych — i przygotowane przez znajomych — odbyło się w brasławskim domu Skurjatów. Równie skromne wesela wyprawiono w rodzinnym domu Wery. Tylko jedne skrzypeczkę grały im marsza weselnego. Pod wieczór nowożeńcy wyruszyli do Dukiel, gdzie mieli zamieszkać na stałe. Gdzieś niedaleko szalała burza, a osłepiające błyskawice rwały niebo na strzę-

py. Ale na nowożeńców nie spadła ani jedna kropka, nie przeciągnęła nad nimi ani jedna czarna chmura. „Była to wspaniała wróżba — mówi Nikodem. — Szczęście nie opuszczało nas nigdy, aż do śmierci Wery w 1963 roku”.

Ciemne chmury rzeczywiście omijały nowożeńców, ale czasem przeciągały niebezpiecznie blisko. Wkrótce po ślubie, w uroczny czerwcowy wieczór o mało nie doszło do tragedii. Do domu Skurjatów przyjechali sowieccy partyzanci ze swoim konfidentem Szarkiewiczem. Był to znany rozbijaka, który na zabawach wszczynał kłótnie i bijatyki i kochał strzelaninę. Przybysze zażądali samogonu, a upiwszy się zaczęli plądrować dom i szafy. Szarkiewiczowi spodobał się elegancki garnitur Nikodema, szyty jeszcze na zamówienie śp. Wincentego. Nikodem wahał się.

— Dawaj ten czarny *kostjum*. Dawaj, pókim ja dobry.

— Masz ten i noś go z Bogiem — powiedział Nikodem i podsunął mu inne, świąteczne ubranie, bo tamten garnitur chowany był w stajennej skrytce.

— Tfu, że też Pan Bóg nie pokara takiego. Ot, szmata — splunęła Konstancja.

Przybysze zarepetowali broń.

— Przynoś ten czarny — upierał się Szarkiewicz. — *Bo ubju kak psa*.

Wera patrzyła błagalnym wzrokiem na męża, jakby chciała powiedzieć: idź do stajni, pijanemu nie przetłumaczysz.

Poszli do stajni. Szarkiewicz wyzywał swego kolegę od kutaków i spakował co lepszą odzież. Na koniec zażądał, aby Nikodem oddał mu swoją broń krótką — wiedział, że prawie każdy myśliwy w okolicy posiada takową. Mężczyźni z reguły posiadali tę broń nielegalnie. Jeszcze przed wybuchem wojny Nikodemowi broń zabrano, a za karę wsadzono na pięć dni aresztu. Ale tego Szarkiewicz nie wiedział.

— Dawaj dziewiątkę, bo łeb rozwałę — groził. — Wczoraj zabiłem paru drani i nie poprzestanę, dopóki nie utłukę pięciuset. Ot, pozna świat, do czego ja zdolny! — groził zataczając się.

Wyprowadził Nikodema za dom, w stronę jeziora, zarepetował broń, zaczął mierzyć. W tym momencie Wera podbiegła do męża, rzuciła mu się na szyję. Jej szloch słychać było w całej wsi.

— *Paszła won, bo i tiebia ubju* — warknął bandyta.

Do Szarkiewicza podbiegła Konstancja, padła przed nim na kolana, całowała po rękach i nogach błagając o litość.

Zbir udobruchał się o tyle, że zaczął mówić po polsku. — No dobrze, tym razem daruję ci. Ale wróć we wtorek, broń musi być.

Obładowani łupem odjechali. Gdzieś po drodze opowiadał Szarkiewicz znajomym: „Byłbym go za-

strzelił, gdyby nie Wincentowa. Ta baba to i diabła wzruszy... A zresztą Nikodem to dobry chłop”.

Konstancja stała długo w noc na ganku i wygrając pięścią życzyła Szarkiewiczowi rychłej śmierci. Kłątwa spełniła się nader szybko. Po kilku dniach ci sami partyzanci, przyjechawszy napić się samogonu, poinformowali Skurjatów, że sami zastrzelili Szarkiewicza, bo jak się okazało, pracował też dla niemieckiej policji.

W miejscu, gdzie Szarkiewicz zamierzał zabić jej syna, Konstancja postawiła po wojnie piękny krzyż, który stoi tam do tej pory...

W samym Brasławiu życie pod okupacją niemiecką było w miarę spokojne i bezpieczne. Gorzej było w okolicznych wsiach. Konstancja narzekała. „Dwie władze w jednej wsi, to stanowczo za dużo. A do tego jeszcze różne bandy”.

Co noc ktoś kopał butem do drzwi.

— Dlaczego zamknięte? — dopytywali się Niemcy. — Partyzantów chowacie?

— Dlaczego otwarte? — pytali partyzanci. — Może na Niemców czekacie?

✧ ✧ ✧

Był to czas, kiedy dwie młodsze córki Konstancji szykowały się do zamążpójścia. Emilia mieszkała w brasławskim domu i uczyła się krawiectwa. Odwiedzał ją tam Antoni Lisowski. Młodzi postanowili pobrać się. Narzeczony wielokrotnie jeździł do Dukiel, ale na widok groźnej miny Konstancji nawet nie śmiał poruszyć tematu. Pewnego dnia, kiedy matka przyjechała do córki w odwiedziny, Antoni wypił ćwiartkę wódki dla kurażu i oświadczył się. Jakież było jego zdumienie, kiedy twarz Skurjatowej rozpromieniła się.

— A kłękajcie, dziecienki wy moje, zaraz was pobłogosławię.

Wojna, stałe poczucie niebezpieczeństwa, niepewność jutra zmieniły Konstancję. Zdała sobie sprawę, że córka będzie o wiele bezpieczniejsza w mieście, gdzie panował względny spokój, niż na wsi, gdzie grasowały bandy i panowało bezprawie.

Tymczasem najmłodsza córka, ulubienica Konstancji, czarnowłosa piękność Teresa wciąż mieszkała w rodzinnym domu. Zakochana była w Feliksie Krywieliu, ale o małżeństwie niezbyt poważnie myślała, bo był to — jak mówiła matka — „hołdupiec” z tej samej „deskami zabitej wsi” Krukowszczyzna. Pupilka miała w domu wszystkiego pod dostatkiem, traktowana była jak księżniczka. Nie spieszyło jej się do twardego życia.

O rękę jej starano się wielu kandydatów, ale każdego Konstancja odprawiała z kwitkiem. Tymczasem pojawił się nowy, poważny kandydat — Pankracy Lisowski (brat stryjeczny Antoniego), dobrze sytuowany jednak ze wsi pod samym Brasławiem. Zapytał, czy może dać na zapowiedzi. Skurjatowa, jak zwykle odpowiedziała „nie”. Towarzyszący Pankracemu szwagier zapytał, jaka jest przyczyna odmowy.

— Teresa za młoda. I w ogóle za wcześnie o tym gadać. Może na sianokosy — zbyła ich pierwszym lepszym argumentem, byle zyskać na czasie.

Minęło parę miesięcy. Pewnego dnia do brzegu w zatoczce Skurjatów przybiła łódź. Przyjechał Pankracy w asyście siostry i szwagra.

— Szczęść Boże — powiedział szwagier i dołądził żartobliwie. — Ponoć mamy sianokosy?

— I kto by pomyślał, że u was taka dobra pamięć — odpowiedziała Konstancja tyleż zła, co rozbawiona. Wpadła w potrzask własnej obietnicy. Wpadało dotrzymać słowa. A skoro już miała wydać córkę za mąż, to za bogatego. Tym razem matka była zadowolona. A Teresa długo płakała, bo miała poślubić człowieka nie tylko niekochanego, ale i o wiele starszego.

Konstancja została z dwoma synami; dzień po dniu żyli przerażeni widmem zsyłki na Syberię lub do Niemiec. Sowieci uważali Skurjatów za kulaków i wpisali ich na czarną listę osób przeznaczonych do zsyłki na Syberię. Aby uniknąć strasznego losu, Konstancja postanowiła zlikwidować gospodarkę. Sprzedała czym prędzej bydło z wyjątkiem konia i krowy. Ukryła nieco ziarna. Ziemię zabrali jej Sowieci. Obiecano skreślić Skurjatów z czarnej listy, ale pod warunkiem, że synowie będą przez parę miesięcy przeznaczać jeden tydzień na bezpłatną pracę przy wyrębie lasów. Widmo Syberii zostało zażegnane.

Feliksa przeznaczono do transportu do Niemiec. Litość okazywano tylko tym, którzy mieli rodziny i dużo ziemi uprawnej. Młodzieniec zaryzykował kłamstwo: powiedział, że ma żonę i malutkie dziecko i żeby ich utrzymać, musi uprawiać ziemię. To go uratowało.

Okolice opanowane przez sowieckich partyzantów pacyfikowały oddziały niemiecko-litewskie. We wsi pojawiał się najpierw 50-osobowy patrol; jeżeli partyzanci nie atakowali, wkraczały większe oddziały wojska. Jeśli jednak padł choćby jeden strzał, cała wieś szła z dymem. Płonęły domy i stogi, bydło zabierano całymi stadami, a ludzi wywożono masowo do Niemiec. Tylko niektórym udało się schronić w gęstych kniejach i żywić tym, co przezornie zakopano w „ziemiłankach”.

Przez Dukiele patrol przeszedł spokojnie. Następnego dnia nadciągnął oddział, którego dowódca obrał sobie kwaterę w obszernym domu Skurjatów. Z Dukiel planowano wyruszyć do Krukowszczyzny, w której rejonie działały liczne oddziały partyzantkie. Konstancja nie bez podstęp obawiała się o los wsi, w której mieszkała jej córka i jej pierwszy wnuczek, Leszek.

Korzystając z obecności dowódcy w swym domu postanowiła zaapelować do niego, aby mieszkańcom Krukowszczyzny nie stała się krzywda. Jakich argumentów używała, nikt już nie pamięta. Faktem jest, że dowódca powiedział, iż ta kobieta potrafi i diabła wzruszyć i z Krukowszczyzną obszedł się łagodnie.

Taka była Konstancja, potrafiła wybrnąć z każdej sytuacji, zażegnać niebezpieczeństwo albo krzykiem i bojowością, albo wręcz ujmującą gościnnością.

Zdawało się, że życie wracało do normy... Niestety. Pewnego dnia Nikodem wpadł w ręce Niemców podczas jednego z brasławskich „chapunów”. Był to grudzień 1943 roku. Weronika obfadowana słoniną i serami pojechała do Brasławia w nadziei, że uda się jej „wykupić” męża. Gdy okazało się, że jest to niemożliwe, postanowiła towarzyszyć Nikodemowi i jechać z nim „choćby do piekła”. Kochała go nad życie. I spodziewała się dziecka.

W Niemczech chcieli zabrać Nikodema, jako doświadczonego rolnika do pracy u bauera... ale samego. Wera, która znała niemiecki, zdolała jakoś

ubłagać Niemców, aby ich nie rozdzielano.

Tymczasem dom w Dukielach opustoszał. Matce i najmłodszemu synowi głód zaglądał w oczy. Ostatniego wieprzka, chowanego w tajemnicy w chlewiu nad jeziorem zabrali partyzanci. Zmusili też Feliksa, aby osobiście lup odwiózł do ich kwatery w odległym o 30 km Platerowie. Mróz był siarczysty. Gdy dojechano na miejsce, kazano Feliksowi zdjąć wełniany sweter. Młodzieniec wiedział, że bez swetra nie dojedzie żyw do domu. Partyzanci zarepetowali broń.

— Wolisz zdechnąć od kuli, czy od mrozu?!

— Wszystko mi jedno, strzelajcie, ale swetra nie oddam — odpowiedział zdesperowany.

Ostatecznie zabrali mu tylko Ligusia, a w zamian dali starą, kradzioną szkapę. Krótco po tym incydencie Feliksa wcielono do Armii Czerwonej; był już w wieku poborowym.

Konstancja została sama. Czekąco ją siedem długich lat udręki, tęsknoty, głodu, niepewności i nadziei na powrót synów.

Po majowej kapitulacji Niemiec rozpoczęły się na Wileńszczyźnie masowe przygotowania do „repatriacji”. Emilia i Teresa wraz z rodzinami, po podróży pełnych przygód i trudów, osiedliły się w Słupsku. Julia Szuliowa gospodarowała w jednej z podbartoszyckich wsi, Nikodemowie, po powrocie z niemieckiej niewoli, zamieszkali w Szczecinie. Feliks, po zakończeniu krwawych walk z Banderowcami, znalazł spokój i założył rodzinę w Bartoszycach.

Samotna wdowa tkwiła niczym ślimak na swojej placówce. Nie wierzyła, że gniazdo rodzinne rozpadło się raz na zawsze. Do Polski nie chciała jechać. Nie chciała zostawiać domu pełnego wspomnień, gróbów, ani tej odrobiny ziemi, a raczej ogródka, który pozostawili jej Sowietci. Z majątku Skurjatów nic już prawie nie zostało. Resztki, które próbowała dopilnować, rozkradziono. Co pożyczono, tego nigdy nie oddano. Ukryte w schowkach srebro i złoto ginęło w tajemniczych okolicznościach. W zerekwirowanych zabudowaniach gospodarczych kolchoz prowadził hodowlę cieląt. Konstancja, pozbawiona środków do życia, musiała podjąć pracę w zniechodzonej kolchozie.

Mimo biedy i stresów nie traciła pogody ducha, ani poczucia humoru. W listach krewnych sporo jest anegdota o tym, jak to Konstancja „dawała się we znaki komunistom”. Na zebraniach kolchozu — podczas których uparcie udawała, iż nie rozumie po rosyjsku — zawsze musiała spłatać jakiegoś figla. Podczas pewnego zebrania, na które poszła ze swym ulubionym psem, ze znużeniem i irytacją słuchała przemowy przewodniczącego. Wreszcie nie wytrzymała, celowo nadepnęła psu na ogon, a gdy ten zaskomlał, niby to rugając zwierzątko powiedziała:

— Cicho, piesku, cicho. Daj towarzyszowi poszczekać spokojnie...

Wiele energii, czasu i pieniędzy pochłonęła budowa krzyża w miejscu, gdzie bandyta Szarkiewicz chciał zastrzelić jej syna. Pomagali jej nie tylko katolicy, ale i prawosławni. Krzyż został poświęcony przez księdza Bujnowskiego z Belmont. Dukielczanie i mieszkańcy okolicznych wsi gromadzili się pod tym krzyżem; w owym czasie kościoły były zamknięte lub — jak ten w Brastawiu — zamienione na magazyny zboża. Jak piszą krewni, krzyż

Skurjatowej stoi tam do dziś. Jest porządnie ogrodzony, ludzie sadzą wokół niego kwiaty...

Trzeba było aż siedmiu lat, aby Konstancja zdała sobie sprawę, iż starego porządku rzeczy już nigdy nie da się przywrócić. Dzieci nie chciały wracać do domu — to już nie był rodzinny dom w uroczej, kresowej, niepodległej Polsce... Pracowały zawodowo, dokształcały się w szkołach wieczorowych, mieszały na peryferiach i uprawiały ziemię w przydomowych ogródkach; wnuki chodziły do komunistycznych szkół i dopiero wieczorem w domu brały lekcje prawdziwej historii.

Konstancja dała za wygraną. Skoro dzieci nie chcą przyjechać do niej, ona pojedzie do nich.

W kwietniu 1952 roku, wyprzedawszy resztę płodów i dobytku, zostawiła dom pod opieką krewnej i przyjechała do Polski. Nie była repatriantką; przyjechała na zaproszenie syna Feliksa. Prawdopodobnie miała nadzieję, że zdoła namówić dzieci do powrotu.

Dla siebie przywiozła niewiele. Cały jej багаż składał się z rzeczy przeznaczonych dla dzieci oraz z tego, co na prośbę krewnych z Brastawia miała dostarczyć ich rodzinom w Polsce. Niektórzy mieli uregulować dług na miejscu — nie uczynili tego, zresztą Konstancja nie upominała się. Dłużników miała wielu. Ilekroć dzieci zwracały jej uwagę, że znów ktoś pieniędzy nie oddał, machała lekceważąco ręką i powtarzała: — Ech, nic to. Rok miłosierdzia. A rok miłosierdzia przeciągał się w nieskończoność. Tak oto roztrwoniła wszystko to, co miała.

Po krótkiej wizycie u Feliksa zamieszkała w podbartoszyckiej wsi Witki u Julii. Zięć był alkohikiem; kłótniom o wódkę nie było końca. Po pewnym czasie zwątpiła, czy uda się jej „uzdrowić” Alfonsa i naprawić małżeństwo córki. Pociechy z wnuków też nie miała, bo te bardziej przywiązane były do babci Szuliowej. Wróciła zatem do Bartoszyca. Przyjeżdżała potem do Witki, aby pomóc córce w polu, ale do domu nie wchodziła, aby uniknąć spotkania z zięciem.

Stosunki z Feliksami były również napięte. Do syna miała żal o to, że nie został księdzem. Synową Leokadię uważała za obcą. „Obcym” był każdy, kto nie pochodził z Wileńszczyzny. Synowa narzekała, że Konstancja jest zbyt despotyczna, zaborcza i ascetyczna. Skurjatowa domagała się przesadnej skromności tam, gdzie zdaniem młodej żony, daleko było do nieprzyzwoitości. Leokadii nie wolno było chodzić po domu w szlafroku, ani nosić bluzek z krótkim rękawem. Gdy idąc za modą synowa utleniła sobie włosy, Konstancja tak długo jej dokuczała, aż ta poszła do fryzjera i przywróciła włosom naturalny kolor.

Feliksowie żyli dostatnio, nawet bardzo dostatnio. Młoda pani domu lubiła i umiała gotować wykwintnie; teściowa upierała się przy niezbyt urozmaiconej, tradycyjnej kuchni kresowej. Często dochodziło do spień na tle postu. „Nie wiedzieliśmy już, co gotować, co jeść — wspomina Feliks. — W pewne dni nie pozwalała nam jeść nawet jajek i zupy mlecznej. Przez całe lata żyliśmy w obawie — to jest, kiedy już matka mieszkała osobno — że wpadnie niespodziewanie, aby sprawdzić w koszu na śmieci, czy nie ma resztek „zakazanego” mięsa”. W niedzielę wypraszała gości, którzy przy-

chodzili pograć w karty, a to dlatego, że Feliksowie byli w kościele „tylko na jednej mszy”.

Do otwartego starcia między teściową a synową doszło podczas przyjęcia po chrzcinach małej Halinki. Ktoś z gości wznosił toast za młodą matkę.

— Zdrowie pani Skurjatowej.

— Skurjatowa to ja — oburzyła się Konstancja i rozgoryczona parsknęła na synową: — A czegoż ty weszła do naszej rodziny?

— Mamo, czyż ona weszła do naszej rodziny inaczej, niż ty? Też przez ołtarz — Feliks bronił żony.

Urażona Leokadia zabrała starszą córeczkę ze sobą i wyprowadziła się do znajomych. Konstancja, też urażona, postanowiła wyjechać do córek, do Słupska.

Ale i tam były nieporozumienia, głównie na tle rygoru i dyscypliny narzucanych wnukom. Zięciowie, obaj pracujący w turnusie, byli w jej pojęciu obibokami, ponieważ „cały czas siedzieli w domu”. Córki traciły cierpliwość. Wreszcie jedna z nich napisała do Feliksa. „Skoro to ty sprowadziłeś matkę, to ją sobie teraz zabieraj”.

Pod koniec 1954 roku Konstancja opuściła Słupsk i pojechała z wizytą do syna mieszkającego w Szczecinie. Skarżyła mu się, że jego rodzeństwo jest niedobre i nie żyje „po Bożemu”. Nikodem namawiał matkę, aby zamieszkała u niego; przy obszernym domku położonym w sosnowym lesie był ogród, który mogła uprawiać...

— Nie, synu — odpowiedziała ze smutkiem. — Nie mogę tu mieszkać bo chce żyć z tobą w zgodzie. A zgoda tylko na odległość. Pojadę ja i znajdę sobie gdzieś własny kąt. Ot, żyła ja i pracowała dla dzieci, a starość trzeba spędzać samotnie...

Co tak definitywnie oderwało ją od rodziny? Kto ponosił winę? Ona sama, czy dzieci? Historia, czy zmiana obyczajów? Nie umiała pogodzić się z utratą autorytetu i władzy, którą sprawowała przez dziesiątki lat. Nienawistna jej była laicyzacja życia. Potępiała konsumpcyjny model życia.

Wszystko i wszyscy byli od niej uzależnieni, zwłaszcza po śmierci męża. Teraz role odwróciły się. W modelu małej rodziny nie było dla niej miejsca. Nikt nie chciał słuchać jej rad. Przepaść między matką, a dziećmi powiększała się. Mimo to chciała być blisko nich. Do Dukiel nie chciała wracać. Na jej prośbę Nikodem pojechał do Rosji celem sprzedaży domu rodzinnego. Większość pieniędzy rozpozyczył krewnym „na wieczne oddanie”. Z chłopskiej fortuny Wincentego nie zostało nic.

Konstancja po powrocie do Bartoszczyk zamieszkała w skromnym mieszkaniu przy ulicy Świerczewskiego. Mimo podeszłego wieku podjęła pracę, aby zarobić na życie. Sprzątała w ośrodku zdrowia; dorabiała praniem w Lecznicy Zwierząt, gdzie Feliks pracował jako weterynarz. Po pięciu latach przeszła na emeryturę. Zaliczono jej lata pracy w charakterze woźnej w dukielskiej szkole oraz kilka lat pracy w kolchozie.

Jednopokojowe mieszkanie dzieliła początkowo ze swą siostrą Małgorzatą. Charaktery tych kobiet znacznie się różniły. Konstancja była typową chłopką, wiecznie zabieganą, zapracowaną i nader religijną. Babcia Małgorzata była typem zadbanej, miejskiej pani, lubiącej spokój i książki; drażniła Kon-

stancję swoim zachowaniem, które było efektem coraz poważniej nasilającej się schizofrenii paranoidalnej.

— Idź do pracy, to znormalniejesz — mówiła Konstancja, która o chorobie tej jeszcze nic nie wiedziała.

Dopiero po werdykcie psychiatry Feliksowie zabrali babcię Małgorzatę do siebie; umieścili ją w pokoju na poddaszu, którego prawie nigdy nie opuszczała. Jeszcze przez dwadzieścia lat miała lęki i omamy, że Konstancja wygania ją do pracy, albo nie pozwala zdrzemnąć się po obiedzie.

Konstancja zamieszkała w obszernej kuchni, a pokój odnajęła młodym panienkom. Dziewczęta wyprowadziły się po dwóch tygodniach, ponieważ „babcia kazała im bez przerwy się modlić”. Od tej pory mieszkała już sama. Tylko sporadycznie pomieszkiwały u niej wnuki.

Większości wnuków wpojono mit „groźnej babci”. Działwa ze Słupska i Szczecina słabo знаła Konstancję i bała się jej na odległość. Sporadycznie jeździły do Bartoszczyk. Chętnie zatrzymywały się u wujka, gdzie życie było dostatnie i wesołe; chodźły odwiedzać babcię z lękiem w sercu, że coś z pewnością przeskrobia i dostaną burę. Trochę łagodniej oceniały babcię wnuki z Bartoszczyk i Witek, które częściej z nią przebywały.

Opowiada wnuczka Lola. „Im bardziej ją poznałam, tym szybciej rozwiewał się mit groźnej babci. Moim zdaniem dobrzy ludzie nie mieli powodu bać się jej. Obserwowałam ją na ulicy: dla grzecznego dziecka zawsze miała dobre słowo i cukierka. Natomiast pijaków wyzywała publicznie. Owszem, stwarzała wokół siebie atmosferę nieprzystępności i surowości. Prawdą też jest, że nie umiała okazywać czułości... Ale była sprawiedliwa i nigdy obok krzywdy ludzkiej nie przeszła obojętnie”.

Halinka wspomina, że ilekroć była niesforna, dostawała od babci ścierką, albo sznurem od żelazka. Zdaniem Ludwika każdego, kto był dobrym człowiekiem i przykładowym katolikiem, traktowała serdecznie. Biada temu, kto naraził się jej. Nie rozumie, dlaczego uważano ją za dziwaczkę — a tacy byli właśnie w rodzinie.

W sprawach wiary była nieugięta i nader wymagająca. Do chrześcijańskiego wychowania wnuków przykładła wielką wagę. Leszek, który mieszkał u niej przez pewien czas, opowiada: „Marzyłam, abym został księdzem; dla niej to był największy awans społeczny. Codziennie rano służyłam do mszy. Wieczorem odmawiałem z babcią różaniec. Zła była, kiedy zmęczony zasypiałem w połowie różańca”.

„Z babcią można było żyć w zgodzie — opowiada Halina — o ile chodziło się regularnie do kościoła i na lekcje religii. Nie daj Bóg, gdy ktoś z rodziny spóźnił się na mszę. Do dziś pamiętam jej minę: spod okularów opuszczonych na nos spoglądała groźnie swymi piwnymi oczyma, jakby chciała powiedzieć: „już ja się z wami policzę po nabożeństwie”. Ale długo gniewać się nie umiała”.

W mieście była osobą powszechnie znaną i popularną. Okoliczne dzieci nazywały ją „babcią” i uważały ją za swoją. „Ileż to czasu minęło, zanim koleżanki dowiedziały się, że to moja babcia” — mówi Halina.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

# KONSTANCJA - BABCIA KLERYCKA

(OPOWIEŚĆ W ODCINKACH)

Serdeczne więzi łączyły tę prostą kobietę z ludźmi wykształconymi, m. in. doktor Tabaczyńską-Baruchową, dr. Dąbrowskim, dr. W. Waszkiewiczem oraz dalekim krewnym, dr. Karpowiczem. Znajomości miała rozległe. Nikt niczego jej nie odmawiał. Kleryk E.B. tak pisał w swym liście do rektora seminarium: „Wiedzieli o niej w każdym sklepie, urzędzie, instytucji. Przed świętami roznosiła opłatki po urzędach, nie omijając Domu Partii”. Ilekroć przekraczała próg urzędu, mówiła z szelmowskim uśmiechem „ja przysłała zapisać się do partii”. W ośrodku zdrowia powiesiła krzyż na ścianie. Następnego dnia krzyż znikł. Konstancja kupiła nowy. Ten także zdjęto. Kupiła jeszcze jeden. Doszło do kłótni z młodym, partyjnym lekarzem. Krzyże jeszcze przez pewien czas zniknęły, ostatecznie lekarz dał za wygraną.

Sprawy rodzinne zeszyły u Konstancji na drugi plan. Zaczęła udzielać się w Żywym Różańcu i w III Zakonie Franciszkańskim. Z nietypowym dla „niegramotnej” kobiety zainteresowaniem śledziła pełną konfliktów sytuację religijną w kraju. Z niezwykłą żarliwością modliła się za więzionych i prześladowanych duchownych. Kiedy opowiadano jej, że Prymasowi Wyszyńskiemu odmówiono wizy do Rzymu, oburzyła się. „Co za świat, co za ludzie. Żeby taki święty człowiek nie mógł jechać po odbiór swojego kapłusza...”

Radia nie miała, gazet nie czytała. O tym, co dzieje się w Kościele polskim dowiadywała się od księży i od kleryków. Długoletnia przyjaźń łączyła ją z księdzem Adolfem Setlakiem i organistą Zacharewiczem z parafii Matki Boskiej Częstochowskiej.

Od chwili przyjazdu do Polski, skazana na wewnętrzzną banicję żyła przez kilka lat zawieszona w próżni. Odsunawszy się od rodziny i skazawszy na psychiczną banicję nie miała istotnego celu w życiu. Dopiero prawdziwą pełnię szczęścia i sens życia dała jej opieka nad klerykami, którzy odbywali przymusową służbę wojskową w Bartoszczach. Z chwilą pojawienia się kleryków w tym mieście wszystko inne przestało się liczyć. Z racji podeszłego wieku, a jeszcze bardziej pod wpływem kleryków Konstancja złagodniała. Jej charakter i sposób bycia zmieniły się diametralnie. Dzieci i wnuki ze zdziwieniem patrzyły na wesołą, pogodną, przystępną, serdeczną i tolerancyjną staruszkę. Zaskakiwała rodzinę swoimi reakcjami. Leszkowi wybaczyła, że nie został księdzem — od czasu do czasu racyła oglądać go na ekranie telewizyjnym, jak dyrygował orkiestrą. Wnuczka Lola też nie mogła pojąć tej zmiany. „Czasami nocowałam u babci. Pamiętam, chciałam kiedyś pójść na szkolną zabawę, więc powiedziałam babci, że boli mnie głowa i poszłam do łóżka. Babcia zamknęła drzwi na klucz. Co miałam robić, uciekałam przez okno. Wróciłam nad ranem. Dopiero wtedy naprawdę rozboleła mnie głowa —

ze strachu, że rano będzie awantura. Tymczasem babcia weszła do pokoju i śmiejąc się powiedziała ‘wstawaj, tancerka, czas do szkoły’. Nie wierzyłam własnym uszom”.

Jedna z wnuczek, mieszkająca wtedy w innym mieście, urodziła nieślubne dziecko. „Obie z mamą zamartwiałyśmy się, jak babcia zareaguje. Drżąc jak osika pojechałam z synkiem do Bartoszczyk. Babcia rzuciła się na mnie z płaczem. ‘Doczerka moja, a nie żal ci było, że narzeczony cię rzucił?’ Na sercu było mi tak lekko, jak po spowiedzi. W jakiś czas później pojechałam odwiedzić babcię już z oczymem mego dziecka. Wzięła Kazika za rękę i powiedziała: — Masz dobroć w oczach, a mam nadzieję, że i w sercu. Dziękuję ci, że zaopiekowałeś się moją wnuczką i jej synkiem”.

W dawniejszych czasach na matkę i nieślubne dziecko rzuciłaby zapewne klątwę. Ale teraz to już nie była ta sama Konstancja. Nazywano ją i znano jako „babcie klerycką”.

## CZĘŚĆ II.

### WSZYSTKO DLA KLERYKÓW

W komunistycznej Polsce droga do kapłaństwa była nader trudna, wymagała wiele uporu i hartu ducha. Na większą, czy na mniejszą skalę torpedowano zamiary wstąpienia do seminarium. Zdaje się o tym świadczyć opowieść księdza A.O. „Sąsiedzi, u których bywałam, mieli kontakty z majorem UB. Pewnego dnia natknąłem się na niego. Musiałem kryć się z zamiarem zostania kapłanem. Ale po maturze, którą zdałem z wyróżnieniem, bomba pękła. Major powiedział sąsiadom: ‘kaktus wyrośnie mi na dłoni, jeśli chłopak zostanie księdzem’. Dostałem wezwanie do WKR. Wysłano mnie do specjalisty. I niestety, zabrano mnie do wojska mimo że miałem poważną wadę wzroku i że byłem jedynym synem wdowy. Dopiero po latach dowiedziałem się, że to pan major próbował podstępnie odciąć mi drogę do kapłaństwa”.

Zamykano niższe seminaria duchowne. Seminarium, do którego K.B. uczęszczał kosztem wielkiego wyrzeczenia rodziców, zostało zlikwidowane, a budynki oddano na potrzeby szkoły świeckiej. Władze oświatowe ludzi zapewniły, iż wyrzuceni na bruk chłopcy zapomną o swoim powołaniu. Młodemu K.B. dano możliwość przejścia do klasy maturальной... pod warunkiem, że zda egzamin. Ale on znalazł lepsze rozwiązanie: wstąpił do nowicjatu. W rok później zdał maturę w szkole wieczorowej, po czym rozpoczął studia w Seminarium Zagranicznym.

Ksiądz M.L. z goryczą opowiadał o represjach, jakie dotknęły seminaria po tym, jak kilku polskich

zakonników przedarło się przez zieloną granicę do pracy misyjnej w Europie i na innych kontynentach. Przeprowadzano rewizje, odłączano telefony, zabierano maszyny do pisania i niektóre książki; nade wszystko analizowano zdjęcia robione przez kleryków w nadziei, że znajdzie się na nich jakiś „tajny” obiekt i będzie pretekst do aresztowania.

Seminarzyści należeli do młodego pokolenia Polaków, na którym komuniści pokładali wielkie nadzieje. Młodzież wychowywana w duchu ateizmu miała stworzyć podwaliny pod równie ateistyczny naród. Zawładnięcie umysłami kleryków i wpływ na program nauczania były sprawą wielkiej wagi. W roku 1960 rozpoczęły się pierwsze próby bezprawnych wizytacji w seminariach. Na taką ingerencję władzy komunistycznej Kościół nie mógł się zgodzić. W roku 1965 Episkopat wydał oficjalny protest w tej sprawie. Władzom komunistycznym nie udało się wdrzeć w mury seminariów. Postanowiły zatem przenieść kleryków w sferę swoich wpływów i tam poddawać ich indoktrynacji. Innymi słowy zaczęto powoływać ich do służby wojskowej. Pogwałcono porozumienia zawarte wcześniej (1950, 1956) między Episkopatem a rządem; były to porozumienia zwalniające osoby duchowne od odbywania służby wojskowej. Pierwszych kleryków wyrwano z seminariów w 1959 roku; następny pobór, już na większą skalę, odbył się w 1963 roku.

Różnymi metodami, początkowo chaotycznymi i niedopracowanymi odciągano alumnów od stanu kapłańskiego. Jakże to były metody, opowiadał ksiądz M.L. W październiku 1959 roku z jego seminarium powołano 80 kleryków i celowo rozproszono ich po jednostkach w różnych stronach Polski.

„Gdy otrzymałem kartę powołania, straciłem nadzieję, że zostanę kapłanem. Byłem jedną z pierwszych ofiar i nie miałem pojęcia, czym skończy się takie wojskowe pranie mózgu”. Lecz początki nie były najgorsze. Dowódca kompanii lubił kleryka, ponieważ ten zdawał egzaminy celująco, a za dobre wyniki w kompanii dowódcy dostawali premie. Architektami afer i prowokacji byli z reguły oficerowie polityczni lub tzw. „czarne owce” specjalnie do takich zadań przygotowane.

„Trzy razy przedstawiano mnie do awansu na kaprala — opowiada M.L. — ale nigdy do tego nie doszło, bo politruk zgłaszał swoje weto. Awansowano mnie tylko na starszego szeregowego, a i to pod nieobecność politruka przebywającego na urlopie. Gdy wrócił i dowiedział się o tym, wpadł w szat, ale już było za późno. Jednak upokorzenia związane z awansem były niczym w porównaniu z tym, co wydarzyło się na poligonie...”

Idącemu na wartę M.L. ktoś wsypał do herbaty środków nasennych. Kleryk zasnął z głową na pistolecie. Gdy przebudził się, pistoletu nie było. Był przerażony, czekało go kilka lat więzienia. Następnego dnia M.L. stał za szafą w biurze dowódcy kompanii (jako najbardziej wykształcony pracował jako kancelista). W tym momencie do biura wszedł sierżant Z., „wyjątkowy antyklerykał” i rozbawiony powiedział do dowódcy:

— Wiesz? Podpierzyłem temu klerykowi broń. Będzie miał się z pyszna za kratkami. Żegnaj su-tanno.

— A co zrobiłeś z pistoletem? — zapytał dowódca.

— Leży w namiocie, pod poduszką — odpowiedział sierżant i chichocząc wyszedł.

M.L. wyszedł zza szafy.

— Słyszałeś? — zapytał dowódca. — Na co czekasz, leć!

Kleryk wkradł się do namiotu sierżanta i zabrał swój pistolet. Zapytany podczas wieczornego apelu, w jakich okolicznościach zgubił broń, odpowiedział, że to jakaś pomyłka. Przyniósł pistolet — sprawdzono numer, wszystko się zgadzało. M.L. wyszedł z tej afery cało — natomiast sierżant ośmieszył się publicznie; na dodatek kazano mu się czołgać za to, że „sieje zamęt na poligonie”.

Początkowo kleryków przydzielano do zwykłych jednostek wojskowych; praktyki tej potem zaniechano, ponieważ alumni mieli zbyt duży wpływ na pozostałych żołnierzy. Nie powiodła się również metoda przydzielania kleryków do jednostek dla poborowych po wyrokach sądowych. Utworzono zatem w Bartoszycach, Szczecinie i Brzegu nad Odrą specjalne „kleryckie” jednostki wojskowe. Podlegały one bezpośrednio Ministerstwu Obrony, a dokładniej Głównemu Zarządowi Politycznemu Wojska Polskiego.

Nie były to jednostki, w których służyli wyłącznie klerycy; w jednostkach tych były także osoby nieduchowne. Jednak tylko klerycy poddani byli specjalnemu rygorowi, np. zwykły żołnierz miał tylko jedną godzinę szkolenia politycznego tygodniowo; kleryków upolityczniano zaś przez co najmniej osiem godzin.

Masowe powoływanie kleryków do wojska miało na celu nie tylko odciągnięcie ich od stanu kapłańskiego; była to także próba rozbijania Kościoła od wewnątrz. Sama polityka poboru była niejednolita. Z różnych diecezji „porywano” albo mniej, albo więcej kleryków, zależnie od tego, czy dany biskup był „grzeczny”. Z niektórych diecezji kleryków nie powoływano wcale w nadziei, że stworzy się pozory, iż biskupi poszli na ugodę z rządem. Ta naiwna gra miała na celu skłócenie wysokich dostojników kościelnych, a przede wszystkim Prymasa Wyszyńskiego i arcybiskupa Wojtyły. Pobór kleryków miał też charakter represyjny — w ten sposób „karano” niektórych biskupów.

W październiku 1965 roku w całej Polsce wyrwano z seminaryjnych murów ponad 300 kleryków. K.B. wraz z dwudziestu „Poznaniakami” znalazł się w Bartoszycach. Tutejsza kompania specjalna składała się z osiemdziesięciu kleryków oraz dwudziestu żołnierzy przezywanych „braćmi podłęczonymi”. Zadaniem ich było rozbijanie solidarności alumnów, donosicielstwo, prowokacje. Namawiali oni kleryków do picia wódki i chodzenia na zabawy. Pijani „bracia” celowo pokazywali się w mieście usiłując skompromitować jednostkę „klerycką”.

Przyjazd do Bartoszyca i pierwsze spotkanie z Babcią jest niemal identycznie relacjonowane przez wszystkich kleryków. „Ksiądz J. zaprowadził nas do siostr Serafitek, gdzie zjedliśmy obiad — pisał w swym pamiętniku St.W. — A teraz należało udać się do drugiego miejsca, które okazało się bardzo miłe i przez dwa lata zastępowało nam dom rodzinny. Idąc do Babci przemykaliśmy się co za-

ciszej uliczkami w poszukiwaniu ulicy Świerczewskiego. Ku naszej radości odnaleźliśmy i dom i Babcię. Tutaj czekała już na nas spora grupa kolegów (...). Kiedy witała nas po raz pierwszy, miała łzy w oczach: z radości, że tak wielu do niej przyszło i z żalu, że tak wielu zabierają do wojska. Powiedziała wtedy: A witajcie, wy moje kochane”.

Alumni czuli się — zwłaszcza na początku — zahukani, niepewni, zagubieni w koszarach. W seminariach uczyli się, modlili, medytowali. Tu poddano ich ostrem urygorowi i poinformowano ostrym tonem: — W wojsku trzeba słuchać, a nie myśleć! Rocznik 1965 nie miał łatwego życia. W grudniu tegż roku biskupi polscy wystosowali pamiętny list do biskupów niemieckich, w którym — zgodnie z ideą chrześcijaństwa — udzielili przebaczenia i o wzajemne przebaczenie prosili. List ten wywołał burzliwą reakcję władz polskich. Rozpętała się długotrwała kampania antykościelna, która nikomu, włącznie z klerykami, życia nie umilała. Im bardziej dokuczano alumnom, tym żarliwiej się modlili. Ale czy łatwo było modlić się w koszarach?

„Pewnego zimowego wieczoru modliliśmy się całą grupą — wspomina ksiądz K.B. — Nagle do sali wbiegł kapral. Zgodnie z regulaminem wojskowym powinniśmy byli zerwać się i stanąć na baczność. A my nic. Klęczymy i modlimy się dalej.

— Co to, do cholery! — wrzasnął kapral. — Zbiórka!

Po zbiórce znów padliśmy na kolana, każdy przy swoim łóżku. Spodziewaliśmy się, że prawdziwe piekło zacznie się następnego dnia. I rzeczywiście. Rano podczas apelu wymierzono nam kary: szorowanie klozetów, sprzątanie placu. Zaciśniliśmy zęby i wytrwaliśmy do wieczora. Wieczorem zebrało się nas trzydziestu i zaczęliśmy odmawiać różaniec. Cisza. Żadnej reakcji. Przeczuwaliśmy, że szykuje się większa akcja odwetowa. Nocny alarm nie zaskoczył nas zbyt.

W pełnym uzbrojeniu zaczęto nas ganiać po śniegu. Biegaliśmy pół nocy i cały dzień bez przerwy, aż do wieczora. Baczność, spocznij, padnij, powstań, baczność, spocznij, biegiem marsz, w tył zwrot... Kręciło mi się w głowie. Pot zalewał oczy, a w oczach ciemno. Nie wiedziałem już, gdzie przód a gdzie tył, gdzie góra gdzie dół, gdzie wschód a gdzie zachód. Spoceni, zziębnięci, kompletnie wyczerpani i śmiertelnie głodni powróciliśmy do koszar z cichą satysfakcją, że nasz dowódca też ledwie dyszy. Zaczęliśmy odmawiać różaniec.

Spodziewaliśmy się jeszcze gorszych represji, ale widać dowództwo dało za wygraną. Od tej pory mieliśmy już prawo modlić się swobodnie, tyle że po cichu, indywidualnie i na widok przełożonego nie musieliśmy zrywać się i stawać na baczność. To nieoczekiwane zwycięstwo dało nam wiele satysfakcji”.

Trudniej było o wyjście do kościoła. W pamiętniku „Przemysłaka” czytamy: „Tu, w wojsku, bardziej niż gdzie indziej odczuwało się tęsknotę za mszą św. i sakramentami. Z tych można skorzystać tylko w kościele. A o przepustki nader trudno. Cóż, trochę odwagi i... przez płot. Dowództwo wiedziało, że uciekamy. Obowiązywało tu jednak napisane prawo: karany będzie nie ten, kto opuści ko-

szary, ale ten, kto da się złapać”.

„Przepustkę na wyjście do kościoła dostawał co czwarty kleryk — opowiada K.B. — Nawiasem mówiąc na zabawy chętnie wypychano cały pluton. Dla nas ważnym wydarzeniem były wieczorne nabożeństwa. Pewnego dnia dwunastu kleryków służyło do mszy. Wieść o tym lotem błyskawicy dotarła do jednostki. Na apelu zarzucano nam 'kalanie' munduru wojskowego komżą... Cóż było robić, od tej pory służyliśmy w mundurach. A po mszy biegliśmy do Babci”.

Trudno ustalić, kiedy w mieszkaniu Konstancji klerycy pojawili się po raz pierwszy. Zachował się list świąteczny z grudnia 1963 roku, pisany przez J.K. i H.D., kleryków, którzy już po odbyciu służby wojskowej z Bartoszyc wyjechali. „Najdroższa Babciu. Jak zdrowie Babci w służbie Bożej? O tak, bo całe życie Babci, to nieprzerwana służba Bogu... Niechaj Boża Dziecina błogostawi to miejsce, gdzie kiedyś my, a dzisiaj inni nabierają otuchy...”

Jest i list z roku 1961. Kleryk A.M. tak pisał do rektora swego seminarium: „Jej mieszkanie jest dla nas i z naszego powodu otwarte przez całą dobę. Jeżeli Babcia zamyka drzwi, to bez użycia klucza. Zawsze tu śmiało przychodzimy, nawet gdy jej nie ma. Zawsze czeka na nas stół zastawiony jadem”.

Legendarna kłódka jest stałym elementem zarówno rodzinnych jak i kleryckich opowieści. Wnuk Leszek nazywał tę kłódkę „atrapą”. W liście kleryka E.B. znajdujemy słowa: „gdy Babci nie było w domu, na drzwiach wisiła niezamknięta kłódka”. Podobnie pisał St.W. „Nigdy nie zamykała drzwi przed nami. Jeśli musiała wyjść, wieszala na drzwiach kłódkę — niezamkniętą, ale tylko założoną dla pozorów przed obcymi”.

Jej skromne mieszkanie znajdowało się w starym budynku zamieszkałym przez sześć rodzin. Po lewej stronie małego przedpokoju była obszerna kuchnia, a po prawej — pokój. Łazienki nie było, tylko ciasna ubikacja. W kuchni, pod parapetem dużego okna stała prowizoryczna spiżarka zastąpiona kawałkiem perkalu. Na oknie zawsze czyste i schudne firanki i zasłony. Na szerokim parapecie — kwiaty doniczkowe. Dalej od okna stał stolik, a pod nim duży gąsior wina. Pod ścianą małe łóżko z kocem elektrycznym. Na środku — duży stół i cztery krzesła. Na stole zastawionym potrawami skromnym, ale pożywnymi leżała słynna księga wpisów. Pod nieobecność Babci klerycy wpisywali się do księgi dziękując za to, co zjedli, albo informując, iż pożyczili albo oddali pieniądze... Ta księga — a właściwie księgi, bo przez lata nazbierało się tego wiele — była jej dumą i radością.

Wiele miejsca zabierała stara, węglowa kuchnia, na której Konstancja gotowała chętniej, niż na małej, gazowej kuchence. Był też tam niewielki piecyk elektryczny, który włączała tylko wtedy, kiedy przychodziły jej „dziecionki”. Sama, mimo reumatyzmu, siedziała w zimnym. Zimą spała na kuchennym łóżku, latem zaś na kozetce w pokoju gościnnym.

Umeblowania kuchni dopełniał wielki kredens, wewnątrz którego był istny groch z kapustą; i pościel, i naczyńia, i listy, i skrypty kleryków, i odzież i — w szufladach — jajka. Te naczyńia przezna-



czone były dla gości; sama jadła z wyszczerbionych.

Pokój gościnny był równie skromny, ale przytulny. Przy kaflowym piecu kozetka. Na lewo od okna stało duże łóżko zawsze zaśnie świeżą pościelą i przeznaczone dla gości: dla samych kleryków lub dla ich krewnych, dla przyjezdnych księży. Na środku pokoju stał duży stół i kilka krzeseł. W rogu pokoju znajdował się mały, domowy ołtarzyk — przez kleryków zwany „kapliczką” — przy którym modliła się i sama i z klerykami. Mały stolik zarzucony był świętymi obrazkami i książeczkami do nabożeństwa. Ściany — ściany, to cała historia — oklejone były zdjęciami jej wychowanków, kartkami świątecznymi, obrazkami świętymi.

Dużo czasu spędzała w kuchni, zajęta tarkowaniem ziemniaków i smażeniem placków. Na bardzo wykwintne potrawy nie było jej stać. Czasami syn Feliks, zapalony myślny, przywoził sarninę, dziczyznę i kaczkę. Sama niczego nie tknęła. Smakoloty czekały na kleryków. Uprawiała też przydomowy ogródek, którego spory szmat zabrano jej, bo tuż obok budowano blok. Na pozostawionym jej skrawku ziemi uprawiała ziemniaki i warzywa. „Kartofelki śliczne jak jajeczka”, chwaliła się. Doceniali to sąsiedzi z nowego bloku: kradli nie tylko ziemniaki, ale i urodzajną ziemię do doniczek.

Z sąsiadami utrzymywała kontakty, ale na plotki i pogaduszki nie miała ani czasu, ani ochoty.

Coś szczególnego musiało być w atmosferze domu Konstancji, skoro nawet profesorowie seminarium, którzy byli tam tylko raz, do dziś ten dom wspominają. Profesor D.S. opowiada: „Byłem w jej domu raz i pamiętam ten wielki stół zastawiony półmiskami. Pod jej nieobecność chłopcy krzatali się i 'rzadzili' jak u siebie”.

Nie było w Polsce biskupa, który nie znałby Babczy z opowiadań. Wiedzieli też o niej rektorzy i profesorowie seminarium, do których klerycy pisywali obszerne listy, wiele miejsca poświęcając w nich

Konstancji. „Dzieliła się z nami wszystkim, co miała — pisał F.J. — Mimo podeszłego wieku starała się zawsze coś dobrego kupić i sama do domu przynieść”.

„Nigdy nie szczędziła sił na przygotowanie posiłków dla przepustkowiczów — pisał St.W. — Z zaopatrzeniem nie miała kłopotu. Zawsze kupiła to, co chciała, jeśli tylko miała pieniądze. Dla niej sklep nigdy nie miał prawa być zamknięty, takie trudności nie wchodziły w grę. Ludzie starali się zrobić dla niej wszystko”.

Klerycy przywiązani byli do niej jak do własnej matki. „Jej serce promieniowało dobrocią i miłością. Mówiła do nas 'dziecińki moje', albo z wileńska *dziecionki*” — pisał E.B. Ksiądz M.J., ówczesny rektor seminarium w P. tak napisał w liście do Autorki. „W wojsku wszystko było nastawione na to, aby zmienić światopogląd kleryków i pokrzyżować ich zamiary. W takiej sytuacji rola pani Konstancji — zwłaszcza w pierwszym okresie, kiedy opieka duszpasterska przez wyznaczonych księży nie była jeszcze zorganizowana — była wręcz opatrnościowa. Pani Konstancja była dla kleryków ostoją, wspierała ich swoją modlitwą, roztaczała opiekę duchową i materialną”.

Działalność jej została nie tylko uznana i niejako usankcjonowana przez duchowieństwo, ale od pewnego momentu poparta także pomocą finansową. „Zawsze przygotowała coś do zjedzenia ze swej szczupłej renty — pisał kleryk E.B. — oraz z ofiar, które składały jej niektóre seminaria”.

Kontakty kleryków z Babczą były niemiłe widziane przez dowództwo jednostki. Udręka, której nie szczędzono im w koszarach neutralizowała się pod wpływem matczynej serdeczności. Pewnego dnia K.B. wracając od lekarza spotkał Konstancję na ulicy. Na powitanie ucałowała go z „dubeltówki”, wzięła pod rękę i poprowadziła do domu obiecując dobrą przekąskę.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

## DELTA OVERSEAS TRAVEL SERVICE

Myślisz o sprowadzeniu bliskich na wypoczynek do Australii?

A Twój budżet na to nie pozwala?

DELTA JEST BIUREM KTÓRE ROZUMIE TWOJE MOŻLIWOŚCI.

MAMY DLA CIEBIE PROPOZYCJĘ:

**3 MIESIĄCE W AUSTRALII**

**1295 AUD**

WYLOT Z POLSKI W CZERWCU — POWRÓT DO AUSTRALII WE WRZEŚNIU

ZAPRASZAMY DO NASZYCH BIUR:

BANKSTOWN  
12 Fetherstone St.  
Tel. 796 7264

SYDNEY  
428 George St.  
Tel. 27 9446

BLACKTOWN  
16 Main St.  
Tel. 622 5293

FAIRFIELD  
4a Dale St.  
Tel. 726 9451

NEWCASTLE  
468 Hunter St.  
Tel. 29 2713

## KONSTANCJA - BABCIA KLERYCKA

(OPowieść w ODCINKACH)

„Głodny nie byłem, ale miałem ochotę pogawędzić z Babcią. Opowiadałem jej, co w koszarach, żaliłem się, a ona dobrym słowem i głaskaniem po głowie dodała mi sił i otuchy. Mocno spóźniony wróciłem do koszar. Kapitan Cz. wezwał mnie na 'dywanik'.

— Czy to przystojny żołnierzowi włożyć się po mięście ze starą babą?

— Gdyby ta *stara baba* była matką pana kapitana, to wyraziłby się pan tak samo? — odciąłem się.

— Od zadawania pytań to my tu jesteście — powiedział kapitan, chwilę pomilczał, jakby zlagodniał i dodał: — No, żeby mi to było ostatni raz.

Chwała Bogu, skończyło się tylko na krzyku”.

Mimo krzyków i zakazów klerycy każdą wolną chwilę spędzali albo w kościele, albo u Konstancji, gdzie znajdowali namiastkę domu rodzinnego. Często gościem bywała wnuczka Lola. „Na początku lat sześćdziesiątych bywała u babci grupa kleryków ze Śląska. Ich gwara, której babcia nie rozumiała, bawiła ją do łez”.

Poczucie humoru nie opuszczało Konstancji. Lubiła żartować, lubiła dowcipnych kleryków. Z własnymi wnukami dosyć rzadko przebywała, a jeszcze rzadziej żartowała. Okazywanie beztroskiego humoru przy wnukach należało do rzadkości. Raz tylko, gdy przyszła Halinka, przedstawiła ją klerykom z szelmowskim uśmiechem.

— To moja wnuczka. Patrzajcie, jakie ma brzydkie oczy . . .

Dobrze wiedziała, że Halinka ma takie same piękne, piwne oczy, jakie ona sama kiedyś miała.

Własne wnuki istniały, ale jakby za szklaną ścianą. Traktowała je w pewnym sensie instrumentalnie. Przydawały się, bo mogły zrobić coś dla kleryków. Lola często pomagała Babci robić soki, wina i nalewki. Dewizą Babci było dać klerykowi szklaneczkę wina w domu po to, aby „nie szwendał się po gospodach i nie dał Bóg zacząć pić wódkę”.

Lola w czasie swoich wizyt tarkowała marchew, którą potem suszyło się. Wychodziła z niej tania, zdrowa i o pięknym kolorze herbata. Na prawdziwą herbatę w domu, gdzie przewijały się dziesiątki ludzi, nie zawsze starczało pieniędzy.

Lola obserwowała stosunek Babci do kleryków. „Lubiła nie tylko żartownisiów, ale i przystojnych. Klepała kleryków po ramieniu i mówiła 'ksiądz musi być przystojny'. Niejednego z szacunku całowała po rękach; często powtarzała, że najważniejsze są dwa zawody: lekarza, bo leczy ciało i księdza, bo uzdrawia duszę”.

Kilka razy w roku odwiedzali ją dzieci. Spotkania te bardzo przeżywała, ciągle obawiając się, że może to już ostatnie. „Zawoziliśmy jej, co mogliśmy — opowiada Nikodem. — Ciepłe bambosze, wełniane skarpety, i chusty, kamizelki, swetry, koł-

ry, koce, słodycze, pieniądze. Gdy się przyjeżdżało następnym razem, śladu nie było po tych podarkach. Wszystko rozdawała klerykom. Taki sam był los paczek. Gniewać się nie było o co. Zadowoleni byliśmy, że ma z czego dawać. Żał tylko, że sama nigdy niczego nie spróbowała, niczego sobie nie zostawiła. Podczas pewnej wizyty postanowiliśmy zmusić matkę do zjedzenia łakoci. Zrobiliśmy herbatę, smaczną ciasteczkę wyłożyliśmy na talerz. Nas poczęstowała, sama nie tknęła.

A co to ja, *hrabini*, żeby ciastka jeść? — oburzyła się”.

Nie tylko najbliższa rodzina wspierała Konstancję materialnie. Czyniła to także siostrzennica Anna mieszkająca w Kanadzie. Przesyłała pieniądze oraz wielkie paczki z używaną odzieżą. Wiedziała, że większość zostanie rozdana. W liście do Autorki pisała: „cieszyłam się, że ciocia miała co dawać klerykom”.

Zawartość paczek przekładana była do wielkiego, kuchennego kredensu. Na początku, kiedy jeszcze nie było kleryków, pozwalała wnukom bobrować w kredensie i wybierać wszystko, co im się podobało. Jednak z biegiem lat robiła się „skąpa”.

Halinka znalazła kiedyś śliczny, moherowy sweter i zapytała, czy może go sobie wziąć.

— Zostaw, dam to któremuś klerykowi — skoczyła jak lwica.

— Babciu, ale to damski sweter, a klerycy chyba nie mają narzeczonych . . . — Halina próbowała żartować, ale babcia była nader poważna.

— Ach, ty durna. Sam będzie nosił. Założy pod mundur i będzie mu ciepło.

Pewnego dnia synowa, wracając od koleżanki, wstąpiła do Konstancji. „Z miny i zachowania matki wynikało, że coś przede mną ukrywa. Widziałam, jak nogą wsuwa jakiś karton pod łóżko.

— Twój nas taki mały, a taki *wąchaty* — powiedziała do mnie z pretensją.

Domyśliłam się, że właśnie dostała paczkę z Kanady. Już miałam wyjść, gdy matka zaproponowała szklaneczkę wina. Po chwili złość jej przeszła, pokazała zawartość paczki i podarowała mi sukienkę”.

Ze wszystkich dzieci chyba tylko jedna córka zadrosna była o to, że matka „wszystko rozdaje klerykom, że im pomogą w nauce. A czy mnie dała wykształcenie? Zawód zdobyłam sama, na wieczorówce”.

Mało kiedy klódką wisiła na drzwiach. Rano, w południe i wieczorem byli goście. „Ryzykując kilka dni aresztu — opowiada ksiądz K.B. — skakaliśmy przez płot i na skrót, przez pole biegliśmy do Babci. W mieszkaniu było nas czasami tak wielu, że z trudem można było się pomieścić. Babcia robiła na drutach, a myśmy gotowali, lub odgrzewali. Musieliśmy sami krzątać się przy garnkach, bo tylko wtedy wierzyła, że czujemy się naprawdę jak we włas-

nym domu. Była pogodna, dowcipna, rozmowna. Nie odczuwaliśmy różnicy poziomów, łaknęliśmy przeciwieństwa serca, a nie intelektu. Imponowała nam jej siła. Nigdy nie poddawała się zmęczeniu. Ilekroć przychodziliśmy, to jeśli nawet czuła się słabo, wstępowała w nią nowy duch i energia”.

Chętnie słuchała o tym, co dzieje się w koszarach. Pamięć miała wyborną, kolekcjonowała anegdoty, które potem opowiadała następnym rocznikom. Podziwiała upór i spryt swoich wychowanków, jak np. kleryka M.P., który siedząc w areszcie uczył się włoskiego... choć oficjalnie aresztanci nie mieli dostępu do książek. Tego samego kleryka podziwiała za to, że stojąc na warcie wyrzeźbił całą Drogę Krzyżową, którą — nawiasem mówiąc — ofiarował potem swojemu seminarium.

Gdy zbierali się do odejścia, kłękła z nimi przed domowym ołtarzykiem. Modliła się o to, aby wychowankowie zdołali wytrwać w powołaniu. „Nigdy nie wypuszczala nas z pustymi rękami — opowiada książka K.B. — Zawsze coś nam wmuśla, a to zawiniątko z jedzeniem, a to skarpetki, a to parę groszy. Dawanie sprawiało jej tak wielką radość, że nie mieliśmy serca odmawiać.

— Babciu, jak mam się odwdziżyć? — zapytałem kiedyś

— Toż mnie twoja wdzięczność do niczego niepotrzebna — omal mnie nie zbeształa”.

Babcia była dla nich ważną postacią. Ich kontakty z rodzinami były ograniczone. Zaledwie tydzień urlopu na rok. Czasami, o ile to było możliwe, zapraszała rodziców, czy krewnych kleryków do siebie.

Tydzień urlopu to było niewiele. Pobyt w domu rodzinnym był skrócony długim i męczącym dojazdem — większość kleryków pochodziła ze wsi. Ale pomysłowi klerycy wydłużali urlopy na różne sposoby. Oto np. za 200 mililitrów oddanej krwi otrzymywało się jeden dzień urlopu. W nagrodę za dobre wyniki w zawodach strzeleckich przysługiwały trzy dni. Ale były i inne sposoby...

„Pod koniec mojego pierwszego urlopu wysłałem do jednostki telegram z nieprawdziwą informacją, że mój ojciec jest chory — wspomina K.B. — Już po powrocie do Bartoszczyca dowiedziałem się, że do ojca przyjechał człowiek z WKR, aby sprawdzić, czy mój przedłużony urlop był uzasadniony. Całe szczęście, że to był znajomy ojca. Wypili pół litra... Raport był pozytywny. Jednak dowódca chyba mi w dalszym ciągu nie wierzył. Oficjalnie nie miał podstaw, aby mnie ukarać. Spowodował tylko, że wykreślono mnie z listy kandydatów na kurs drużynowych. 'Kara' ta bardzo mnie ucieszyła”.

W babcinej kolekcji anegdot zachowała się i ta o kleryku P.M., który spędził Święta Wielkanocne w rodzinnym domu... bez urlopu i bez przepustki. Kapitan K., któremu historię tę opowiedziano na dzień przed odejściem kleryków do cywila, osobiście pogratulował „bohaterowi” takiego wyczynu.

Przed wyjazdem na urlop klerycy zawsze żegnali się z Konstancją. Nigdy nie puszczała ich z pustymi rękami. Świadczą o tym liczne listy, jak np. ten, pisany przez J.A. „Dziękuję Babci za ręcznik i cytryny. Mama bardzo ucieszyła się, że przyjechałem w Babcinym swetrze”.

Korespondencja „babci kleryckiej” to osobny rozdział. „Ci, którzy zaznali jej dobroci, nigdy o niej nie zapomnieli — pisał St.W. — Pisali listy,

starali się przyjeżdżać w odwiedziny. Otrzymywała wiele listów z całego kraju. Jak sama twierdziła, w okresie świątecznym dostawała po 50 listów dziennie. Ta szeroka korespondencja świadczy o jej dobroci i popularności”.

Utrzymywała listowne kontakty z klerykami przebywającymi na urlopie, z tymi, którzy już powrócili do seminariów, z tymi, którzy otrzymali święcenia kapłańskie. Otrzymywała wiele listów i podziękowań od wysokich dostojników kościelnych, w tym także i od śp. Prymasa Wyszyńskiego.

Czytała z trudem, pisać nie umiała. Pytanie, kto w jej mieniu pisywał listy. Ręce sąsiadek też nie były wprawne. Zadanie odpisywania na listy spadało przede wszystkim na wnuki z Bartoszczyca, a także na te, które przyjeżdżały w odwiedziny. Najchętniej zatrudniała synową Weronikę, która jeszcze w czasach gimnazjalnych dostawała nagrody literackie. „Nikt tak dobrze nie napisze, jak Wercia. Ale bo to i nikogo doprosić się nie można”. Cóż, kiedy Weronika przyjeżdżała do Bartoszczyca tylko kilka razy w roku.

Wnuk Leszek do dziś ma awersję do pisania. „Gdy pomieszkiwałem u babci, musiałem pod jej dyktando pisać listy do księży i do krewnych. Setki listów! Wypisałem się dość — na całe życie”.

Najwięcej listów, które zachowały się, pisanych było przez „Przemysłaków”, którzy zresztą w jej sercu zajmowali szczególne miejsce. Oto jeden z wcześniejszych listów, oznaczony numerem 9. „Ave Maria. Kochana Babciu. Niczym gwałtowna wichura czas leci i pędzi. Tylko czasem człowiek cofa się myślą wstecz i zastanawia się, kiedy to wszystko wydarzyło się. Czy to naprawdę trzy miesiące temu byłem w pokoiku Babci? Czy to prawda, że leżałem zmęczony podróżą, a babcine czcigodne, spracowane ręce okrywały mnie kołdrą, jak najlepszego syna? Tak, to prawda. O tym nie można zapomnieć. (...) O Matko Najlepsza, Jasnogórska Panienko, zachowaj nam Babcię jak najdłużej, aby mogła przybyć na nasze msze prymicyjne, byśmy jeszcze za życia mogli oddać jej dług wdzięczności.

Kiedy dostaliśmy ostatnią paczkę, byliśmy wzruszeni. Ileż to kosztowało? Ale prócz tych materialnych, drogich rzeczy było tam coś więcej. Było tam gorące, matczyne serce. Babciu, dziękuję Ci jak tylko potrafisz w imieniu wszystkich kolegów. Ten mirt i kwiatki Twoje stoją obok krzyża w moim pokoju. Ilekroć patrzę na krzyż, myślę o Tobie. Czy wiesz mi, Babciu? Pamiętaj, że nasze serca biją gorącym uczuciem wdzięczności do Ciebie.

Gdy krzątasz się po domu, czy samotnie modlisz w kościele, to pamiętaj, że na drugim końcu Polski są przyjazne Ci, o Tobie myślące osoby Jasia, Ludwika i Adama. Nigdy o Tobie nie zapomnimy”.

Pięknie kalfografowany list. „Kochana Babciu. Za kilka dni wypada Twoje święto — Imieniny. Z tej okazji wdzięczni alumni-żołnierze z Przemysła ślą Ci, Babciu, najserdeczniejsze życzenia sił do apostołstwa dobroci, które tak wytrwale prowadzisz”. Pod spodem podpisy dwudziestu kleryków.

Paczki wysyłała nawet klerykom, którzy już zakończyli swój pobyt w Bartoszczyca. Pisał kleryk z Krakowa. „Sprawiła nam Babcia bardzo miłą niespodziankę. Paczkę otrzymaliśmy zaraz po powrocie do Seminarium. Koszule bardzo nam się podobają i pasują jak ulał. Podzieliłem się nimi z Holdkiem

i Witkiem. (...) Zdajemy sobie sprawę, że dla Babci to duży wydatek, że Babcia musi na te parę grozy ciężko pracować, czasami nawet do późna w nocy. Z tej racji jest nam bardzo przykro. (...) Próbujemy wyrównać nasz dług modlitwą o zdrowie Babci, ale wiemy też, że Babcia nas w tym wyprzedza modląc się w naszej intencji".

Długo o niej nie zapominali. W liście oznaczonym numerem 166 czytamy: „Zawsze wspominam chwilę spędzone u Babci, było w nich coś szczególnego. Trudno to może zrozumieć temu, kto tam nie był, ale nam obraz babcinego mieszkania pozostał w pamięci na długie lata, jeśli nie na całe życie”. To słowa kleryka St.W., który w innym liście pisał: „To już ręk, jak opuściłem Bartoszyce. (...) W naszym seminarium 'Babcia z Bartoszyce' jest bardzo popularna. Wszyscy chcieliby zobaczyć tę oddaną sercem Panią Skurjat. Niektórym to nazwisko mówi niewiele, ale słowo 'babcia' jest tu tak dobrze znane, jak słowo 'rektor'".

Sam Rektor często pisywał do Konstancji.

„Czcigodna Pani. Przez alumnów, którym Pani wyświadczyła wiele dobra duchowego i materialnego, zawiązała się między Seminarium, a Panią głęboka łączność. Z największą wdzięcznością alumni i Seminarium zachowują pamięć o dobroci i życzliwości Pani” W dalszym ciągu listu ks. rektor polecił cpiece Konstancji nową grupę kleryków skierowanych do Bartoszyce.

Równo w dwadzieścia lat później sędziwy ks. rektor pisał do Autorki. „Za to wszystko, kim była i co wyświadczyła, ożywiona duchem miłości bliźniego, cenilem ją bardzo wysoko. Jestem przekonany, że dobry Bóg wynagrodził Jej to w niebie bardzo hojnie. W dziejach tak trudnych dla Kościoła i jego sług zapisała się niezatartymi zgłoskami”.

Osobny pakiet listów stanowią te pisane przez rodziców kleryków. Niezdarną, spracowaną ręką chłopki list pisany w Zielone Świątki. „Kochana Pani. Jestem przejęta dobrocią Pani i postanowiłam zastosować się do listu Pani dotyczącego tych pieniędzy, co Ludwiś od Pani pożyczył. (...) W naszym województwie klęska gospodarcza, ziemniaki w polu wygniły. (...) Córka moja nadal chora, znowu jej prawy bok ścierpł, a przedtem lewy. Stale martwię się o nią. Co gdzie położę, to zapomnę. A córka nie chce leżeć. Jest wesoła... nawet nie chce wiedzieć, że jest chora. Bierze zastrzyki i co kilkanaście dni chodzi do lekarza. Kierownik poczty pisał w jej sprawie do Fali 56. (...) Dziękujemy, że i Pani brała udział w poszukiwaniu pieniędzy. Wdzięczna jestem za Pani dobre serce.

Pisała Matka Ludwisia". •

Inny list. Czerwiec 1962 roku.

„Szanowna Pani. Jesteśmy rodzicami Kazia, który korzystał z Pani opieki i bardzo wdzięcznie Panią wspomina. Jesteśmy wzruszeni Pani dobrocią i przesyłamy serdeczne podziękowanie za to, że pomogła mu Pani przetrwać ten trudny dla niego okres służby wojskowej. Dziękujemy również za prezenty, którymi go Pani tak hojnie obdarzyła przed wyjazdem. (...) Z szacunkiem Anastazja i Alojzy B."

Czy to z listów kleryków, czy ich rodziców wynika, że pomoc jej w sposób pośredni dotyczyła większej grupy ludzi. Oto relacja Adama. „Szczęśliwie dojechałem do Ostródy. Pomyślił sobie, że bawiłem się na weselu. Otóż chyba nie uwierzysz,

że sam zakasałem rękawy, aby urządzić przyjęcie weselne. Mój kolega przeżywa okropne tragedie. Jego matka jest w zakładzie dla obłąkanych. Ojciec za jakieś wojenne sprawy skazany został na czternaście lat. Zostało sześciu braci, których trzeba nakarmić i posłać do szkoły. Mój kolega postanowił się ożenić, aby w ten sposób sprostać zadaniom, którymi Bóg go obarczył. (...) Chcieli wziąć skromny ślub kościelny. Nie było pieniędzy, nie miało być gości. Ze łzami w oczach wyjąłem 300 złotych i kupiłem co trzeba, aby im ten dzień jakoś upamiętnić. Babuniu, bardzo dobrze zrobiłaś, że wsunęłaś mi te pieniądze. Wydałem je na dobry cel. Na podróż do domu pożyczyłem pieniądze od wujka”.

Ze szczególnym pietyzmem przechowywała listy od nowo wyświęconych kapłanów. W czerwcu 1964 roku nadzedł, sjakże typowy, list z Krosna.

„Najukochańsza Moja Babciu!

Przed trzema dniami dokonało się to, na co czekaliśmy wspólnie przez tyle lat i o co modliła się Babcia w swoich licznych i żarliwych modlitwach. Wiem, że Babcia cieszy się szczerze, ale też zaskoczyła sobie Babcia na tę radość, wypracowała ją, wymodliła. (...) Dziękuję też najserdeczniej za modlitwy w ostatnich dniach i w dzień święceń, za długi, serdeczny list i za podarunek.

Pamiętający i kochający jak syn —

ksiądz Jaś”.

Ten sam Jaś pisał w pamiętniku do dziś zachowanym w seminarium. „Nasze kapłaństwo pochodzi od Boga. Warunki do jego zaistnienia stworzyli biskupi, rodzice, profesorowie. Bardzo blisko tych drogi mi osób muszę umieścić Babcie. (...) Swoim szczerze chrześcijańskim życiem nauczyła mnie, co oznaczają słowa Ewangelii mówiące o znikomości dóbr, które rdza żera i mól niszczy — i o potrzebie gromadzenia skarbów, których nawet złodziej ukradć nie zdoła”.

Czas dzielący odejście jednego rocznika od nadejścia następnego był dla Konstancji trudnym okresem. Rozstanie z wychowankami było dla niej prawdziwym dramatem. „Ostatni raz udzielała nam wskazówek — czytamy w zapiskach 'Przemysłaka'. — Przyjmowaliśmy jej rady i łajania pewni, że płyną z wielkiego, kochającego serca. Jak zawsze, tak i teraz odczuwaliśmy, że słowa te, to nie wyczona recytacja. Babci naprawdę chodziło o to, aby w Polsce byli dobrzy kapłani”.

W okresach „przerwy” — wspomina Feliks — matka chodziła smutna i chora. Teresa przyjechała w odwiedzin i po wizycie u matki pożałowała się bratu: „Mój Boże, żeby chociaż jeden kleryk znalazł się na lekarstwo... matka zaraz wyzdrowiałaby i zaczęła uśmiechać się”. Odwiedziny rodzonych dzieci nie dawały jej tyle radości, ile służba ukochanym „wnukom”.

Smętnym wzrokiem wodziła po ścianach zawieszonych zdjęciami i tableaux. Stanowiły one szczególnie cenną pamiątkę. Klerycy odjeżdżali także z jej podobizną. „Nic dziwnego — pisał ks. rektor M.J. — że na tableau rocznika kleryków, obok podobizny Ojca Świętego, ks. Prymasa Wyszyńskiego, ks. biskupa Tokarczuka umieszczano zdjęcie Babci, jako wyraz wdzięczności za to wszystko, czym była dla nich w tych latach próby”.

Pośród tej masy zdjęć szczególne, a niechlubne miejsce w ciasnym, ciemnym przedpokoju zajmowa-

to miejsce tableau „zdrajców”, tj. tych, którzy zrezygnowali z kapłaństwa. Komentarz na ich temat znajdujemy w zapiskach „Przemysłaka”. Na początku — pisze on — gorliwie walczyli o swoje prawa, stawiali w obronie kolegów, zapędzali wykładców w kozi róg. Dowódcy często wzywali ich na rozmowy. Z czasem ci koledzy bardzo niewinnie odchodzili od kleryckiej społeczności. Dali się namawiać na bardzo laickie zajęcia, jak np. występy na scenie, czy malowanie plakatów w przedszkolu. Efekty? Jeden z kleryków ożenił się z przedszkolanką. Podjął pracę, został ojcem i podobno nie był z takiego życia zbytnio zadowolony. Inny znów chodził do CKO grać na perkusji. Tam poznał swoją przyszłą żonę; dziwnym zbiegiem okoliczności była to siostra dowódcy plutonu. Przepustek miał, ile chciał, na zajęcia prawie nie chodził. Pod koniec służby wziął ślub.

Odchodzili i inni — ci, którzy wciągnięci w nieodpowiednie środowisko zaczęli zaglądać do kieliszka i oglądać się za pannami. Im większe straty dla seminarium, tym większy sukces dla dowództwa jednostki. Najlepiej, zdaniem „Przemysłaka”, robili ci klerycy, którzy wystąpili w wojsku do końca i z kapłaństwa zrezygnowali już będąc w cywilu, odmawiając dowódcom powodu do chluby.

Oficerowie zawodowi, wykonując odgórne polecenia stosowali przeróżne metody odciągania kleryków od kapłaństwa. Niektórzy z nich w głębi serca podziwiali tych, którzy mimo wszystko wytrwali w powołaniu. Świadczyć o tym może opowieść księdza A.O. „Na dzień przed wypuszczeniem do cywila staliśmy na korytarzu grając w bilard. Przyszedł major G., który awansował właśnie na podpułkownika. Gratulowaliśmy mu. Kolega Dz. zażartował wtedy mówiąc, że G. klerykom zawdzięcza te gwiazdki, a raczej tym, których udało mu się odciągnąć od stanu duchownego. Podpułkownik, z lekka pijany, przyznał mu rację. „Właściwie to mnie powinniście być wdzięczni, że te szmaty od was odeszły”.

Reakcje Babci na „zdradę” ksiądz J.S. wspomina po 20 latach. „Ileż to gromów padało na głowy zdrajców! Babcia pomstowała i na niedoszłego księdza i na kobietę, która go „uwiodła”. Potrafiła publicznie naubliżać dziewczynie, która jej zdaniem zbyt pożądliwie spoglądała na kleryków. Myślałem sobie nieraz, a cóż ci, babciu, do tego. Ale ona czuła się za nas odpowiedzialna i stała na straży naszej cnoty”.

Jednym z pierwszych, którzy zrezygnowali z kapłaństwa był kleryk nazywany przez Babcię „Soczewką”. Przez dwa lata po wyjściu z wojska uczył religii. Potem jednak wrócił do seminarium i po czterech latach otrzymał święcenia kapłańskie. Zachował się jego list z 1969 roku. „Zanim rozpocznę ostatecznie przed święceniami rekolekcje, pragnę raz jeszcze sięgnąć myślą do Bartoszczyk, by tu całą pełnią wdzięczności objąć Kochaną Babunię i jeszcze raz podziękować za wszystkie modlitwy. (...) Już niedługo otrzymam dar, którego wartość jest olbrzymia — dar odprawiania mszy św., poprzez którą chciałbym Kochanej Babuni powiedzieć ‘Bóg zapłać’. I dlatego postanowiłem sobie... pierwsze moje kroki skierować do Bartoszczyk, aby przy udziale Babuni odprawić mszę dziękczynną. Tak więc, jeśli Bozia pozwoli, przyjadę we wtorek 10 czerwca i w środę stanę przy ołtarzu, aby Kochanej Babuni udzielić Błogosławieństwa Prymicyjnego”.

Zdjęcie „Soczewki” wróciło na honorowe miejsce.

Jesienią 1966 roku jednostka bartoszczycka przygotowywała się do przyjęcia dwukrotnie większej grupy kleryków. „Nowych” zamierzano poddać rządom twardej ręki. „Starych”, po zaledwie roku służby, postanowiono przenieść do Szczecina, aby nie mieli szansy przekazać swoich doświadczeń.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)



## DELTA OVERSEAS TRAVEL SERVICE

Myślisz o sprowadzeniu bliskich na wypoczynek do Australii?

A Twój budżet na to nie pozwala?

DELTA JEST BIUREM KTÓRE ROZUMIE TWOJE MOŻLIWOŚCI.

MAMY DLA CIEBIE PROPOZYCJĘ:

**3 MIESIĄCE W AUSTRALII**

**1295 AUD**

WYLOT Z POLSKI W CZERWCU — POWRÓT DO POLSKI WE WRZEŚNIU

ZAPRASZAMY DO NASZYCH BIUR:

<b>BANKSTOWN</b>	<b>SYDNEY</b>	<b>BLACKTOWN</b>	<b>FAIRFIELD</b>	<b>NEWCASTLE</b>
12 Fetherstone St.	428 George St.	16 Main St.	4a Dale St.	468 Hunter St.
Tel. 796 7264	Tel. 27 9446	Tel. 622 5293	Tel. 726 9451	Tel. 29 2713

## KONSTANCJA - BABCIA KLERYCKA

(OPOWIEŚĆ W ODCINKACH)

Kontakt Babci z tymi, których przeniesiono do Szczecina, najwyraźniej trwał. Tak przynajmniej wynika z bardzo chaotycznego, pisanego w pośpiechu i pod wpływem emocji listu z 1967 roku. „... w dowód wdzięczności za matczyną opiekę spieszyliśmy z Braniewa do Babci. Mimo trudnych warunków (przeszkód) udało nam się z Babcią zobaczyć i podziękować za wszystko, cośmy od Babci dostali. Pozdrawiamy Babcię oraz chłopaków z Tarnowa i Śląska. Trzymajcie się chłopaki. (...) Dawno nie wybierałem się do Babci, ale los żołnierski, to ciężki los: tu plany, a tam rozkazy. Teraz na nic nie zważając zwiatem razem z Jasiem, aby dać Babci dowody wdzięczności i pamięci od wszystkich, którzy zostali, aby nas ostaniać przed wpadką. Od wszystkich serdeczne uściski i jeszcze serdeczniejsze Bóg zapłać za to wielkie serce, którym nas Babcia darzyła. Razem z Mietkiem i Zenkiem serdecznie dziękujemy za błogosławieństwo, którego nam Babcia udzieliła na drugi rok służby. Jest nam ono siłą i pomocą. (...) Babciu, ostań z Bogiem.

Bolek

Bartoszyce-Braniewo, 5 a raczej 6 czerwca o drugiej po północy. Pozdrowienia dla Was, Drodzy Bracia, od wszystkich Szczecińczyków — byłych alumnów bartoszyckich.

Bolek i Janek”

Klerycy skierowani do Bartoszyca, wśród nich Jerzy Popiełuszko w wojsku zwany Alkiem, dobrze zdawali sobie sprawę, że czekają ich dwa twarde, wymagające niezwykłego hartu ducha, lata. Lata 1966-1968 były w życiu Kościoła i Polski niełatwym okresem. Z jednej strony znaczyły go żywiołowe i powszechne obchody Tysiąclecia Chrztu i wzrastające poczucie więzi społeczeństwa z Kościołem, z drugiej zaś — wzmożona brutalność służby bezpieczeństwa. I wydarzenia marcowe...

Główny autor relacji o tych latach, ksiądz J.S. opowiada. „Powołanie do wojska dostałem podczas wakacji 1966 roku. Nie było to dla mnie zaskoczeniem. Spodziewałem się, że w Roku Millenijnym nastąpi masowy pobór kleryków i że los ten najprawdopodobniej mnie nie ominie. Rektor proponował, abyśmy pisali odwołania. Napisałem, owszem, ale w tak buntowniczym stylu, że na odpowiedź pozytywną nie liczyliśmy.

I oto nasza nieszczęsna grupa gotowa była do odjazdu. Koledzy zgotowali nam wspaniałe pożegnanie na dworcu. Kupili nawet peronówki, aby uniknąć niemiłych incydentów. Na stacji w Olsztynie powitał nas kardynał Henryk Gulbinowicz, ówczesny rektor 'Hosianum'. Z opowiadań oraz licznych wizyt w Bartoszycach dobrze znał niedole kleryków. Wyjeżdżającym dodawał otuchy, radził, jak potrafił. 'Jak będziecie skonanymi, a powiedzą wam padnij, to padnijcie i nie wstawajcie. Żadna siła, żaden regamin nie zmusi was do podniesienia się'.

Po przyjeździe do Bartoszyca udaliśmy się na plebanie, gdzie zgromadzili się już klerycy z innych miast. Ktoś rzucił hasło, aby pójść i przedstawić się Babci Skurjatowej. Każdy z nas słyszał już o niej w swojej diecezji, lub seminarium.

Do Babci biegliśmy, jak do Betlejem. Zebrali się nas chyba ze stu. Podzieleni na mniejsze grupy powędrowaliśmy na Świerczewskiego. Naturalnie, nie dla wszystkich starczyło miejsca w babcinym mieszkaniu. Biedna staruszka biegła z mieszkaniem na ulicę i z powrotem, aby każdego osobiście powitać, ucałować, zamienić kilka słów, dodać otuchy. Każdego z nas pytała, skąd pochodzi. Alka Popiełuszkę uznała za 'Wilniuka', ponieważ pochodził z Archidiecezji Wileńskiej. (Między Watykanem a Episkopatem Polskim nie było umowy dotyczącej zmiany granic wschodnich. Archidiecezja Wileńska istnieje do dziś i ma swą siedzibę w Białymstoku. — przyp. E.S.)

Po tej pierwszej, pamiętnej wizycie u Babci zamknięto ich w koszarach i wypuszczono na świat dopiero po przysiedze. Był to dla kleryków bardzo przygnębiający okres. Ksiądz A.O. tak go wspomina. „Umundurowanie, pierwszy posiłek w koszarach. Niczego nie mogłem przełknąć. Miska wyszłizgiwała się z rąk, jedzenie niesmaczne, otoczenie nieapetyczne. Chodziłem o pustym żołądku, w końcu zjadłem trochę suchego chleba. (...) Potem nauczyliśmy się jeść wszystko, co nam podano. Wszystko z wyjątkiem kiełbasy, która sama 'chodziła'. Zastrajkowaliśmy z powodu tej kiełbasy, bo zażalenia nie odnosiły skutku. Nie pamiętam już, kto rzucił hasło strajku. Faktem jest, że wszyscy, jak jeden mąż odmówili pójścia na stołówkę. Zdenerwowani oficerowie biegali tam i z powrotem. Najpierw wydał rozkaz ogólny 'jedzenie'. Żaden z nas nie ruszył się. Potem próbowali doprowadzić nas na stołówkę pojedynczo. Ale myśmy zażądali rozkazu pisemnego. Tego nam nie dano. I tak przez dwa dni odmawialiśmy jedzenia. Sytuacja była coraz bardziej napięta, tym bardziej, że zastrajkował cały batalion. Przywódca strajku nie wykryto; w końcu sprawa przyćmiała, a kuchnia nieco się polepszyła”.

Strajk ten był akcją solidarną, zorganizowaną przez tzw. grupę „bojowych”. Jednym z przywódców był Alek Popiełuszko. Innych nazwisk ujawnić nie możemy. Popiełuszko, we wspomnieniach księdza J.S., był dziwną mieszaniną ekstrowertyka z melancholikiem. Niby samotnik, a „wszędzie było go pełno”. Drobny, wręcz chudy, o twarzy jakby zgorzkniałej. Aktywny, ale nieśmiały. Rwał się do wystąpień publicznych mimo tremy spowodowanej jękaniem. Wiódł prym w dyskusjach, w obmyśleniu planów, a nawet forteli. Zarliwy, nieustraszony i konsekwentny. Koledzy zawsze mogli na nim polegać.

To właśnie tacy przywódcy, jak Popiełuszko, ini-

cjowali bojkot niektórych inicjatyw Koła Młodych Wojskowych, które w ich pojęciu było tubą partii. Odmówili na przykład oddawania krwi dla żołnierzy z Północnego Wietnamu, aby swoim działaniem nie popierać agresji komunistów. Planowana akcja upadła, ponieważ w trzech kompaniach kleryckich było bardzo niewielu żołnierzy świeckich.

Po przysiędze, a tuż przed świętami Bożego Narodzenia pojawiali się w jednostce kapelani Wojska Polskiego. „Można sobie wyobrazić — opowiada ksiądz J.S. — jak fakszywie brzmiały słowa 'Niech będzie pochwalony' w murach koszarów". Więcej szczegółów na temat roli kapelanów wojskowych znajdujemy w relacji księdza A.O. „Przyjechali... Ksiądz pułkownik, ksiądz major i ksiądz kapitan (...). Po spotkaniu w świetlicy pozwolono nam iść do kościoła, do spowiedzi. Znamienity to był widok, gdy bardzo długa kolejka ustawiła się pod konfesjonalami księży z parafii, a bardzo mała kolejka do kapelanów. Zrozumiałem wtedy, że kapelani są narzędnikiem w ręku partii”.

Dni powszednie wypełnione były szkoleniem. Indoktrynacja polityczna kleryków była z góry skazana na niepowodzenie, ponieważ alumnami byli z reguły lepiej przygotowani do dyskusji. Na jednym z pierwszych szkoleń jakiś kleryk zadał pytanie, czy w wojsku wolno się modlić. Politrak odpowiedział, że nie. Zatem kleryk zadał kolejne pytanie:

— Czy w wojsku wolno kłać?

— Tak — odpowiedział bez namysłu i zanim się zorientował, co powiedział, usłyszał chóralny śmiech. Śmiech kleryków był stałym elementem szkoleń; przyszl kapłani często ośmieszali swych wykładawców. Ironiczny stosunek do szkolenia politycznego widoczny jest w zaimprovizowanej wówczas pieśni.

*Uchwalilo sobie warszawskie plenarium,  
ażebymy urządzić, ażebymy urządzić  
w wojsku seminarium.*

Na szkolenia przyjeżdżali często wykładawcy wyższych uczelni partyjnych i wojskowych, nierazdo eks-księży. Jeden taki, aktywista partyjny, niedopieczony ksiądz F. przyjechał z odczytem na temat Chrztu Polski. Reprezentował on żaloszny poziom intelektualny. Jego zdaniem „wszystko zaczęło się od Cyryla i jego metod...”. Sala rozbrzmiewała ironicznymi brawami.

Pamiętny wykład na temat Katynia wygłosił profesor pułkownik B. Klerycy stawiali pytania tak umiejętnie skonstruowane, że prawda — niejako sama — wychodziła na jaw. Pułkownik zapęrlzał się, czerwienił, złościł i tracił wątek. Ktoś z sali dał wyraz swemu oburzeniu. „Zapowiadali, że przyjedzie tu poważny naukowiec... Tymczasem patrzcie, z kim mamy do czynienia, z zaperzonym felietonistą”. Prelegenta wyśmiano.

Podobny los spotkał „felietonistkę” z Warszawy. Jej wykład był nieklarowny, a terminologia pseudonaukowa. Alek Popieluszko postanowił zripostować ją podobnym bezsensom. Skonstruowane przez niego, celowo bzdurne pytanie J.S. pamięta do dzisiaj.

— Interpretacja prelegentki jest niejasna. Jej rozumowanie uwzględnia tak koniecznego w myśleniu logicznym zrelatywizowania wszelkich aspektów tego zagadnienia... — mówił Alek z lekka jękając się.

— Idiota — mruknął pod nosem porucznik Z. siedzący obok prelegentki.

— Dziękuję panu porucznikowi za komplement — powiedział Popieluszko i zaczął kontynuować swój „wywód”. — Zatem, gdyby uwzględnić czynnik subiektywny w tym zasadniczo obiektywnym zagadnieniu, to doszlibyśmy do punktu, który w pani rozumowaniu uległ zatarciu.

Prelegentka narzekała, że nie rozumie pytania. Popieluszko zwrócił się do kolegów:

— Czy mówię niejasno?

— Niel — krzyknęli chórem i zasłonili twarze, aby ukryć swoje rozbawienie.

Wiele wykładów kończyło się w podobny sposób. Był to swoisty odwet kleryków za całą tę marksistowską papkę, jaką karmono ich do przesyty i wbrew ich woli. Zart w sytuacji stałego napięcia i zmęczenia spełniał rolę wentyla bezpieczeństwa psychicznego.

Szczególnym pamiętnym, groteskowym szkoleniem były wykłady byłego duchownego P. Wykłady jego reklamowano jako nadzwyczajną rewelację. Stawili się na nie wszyscy oficerowie. Kiedy na salę wszedł mężczyzna „o wyglądzie fircyka” i przedstawił się jako były jezuita, rozległo się gniewne tupanie; a gdy wykładawca — w chwili nieuwagi — przyznał, iż obecnie jest dyrektorem cyrku „Wisła”, rozbawionej sali nie można było uciszyć przez kilka minut.

W czasie pierwszego wykładu „jezuita” podjął próbę ośmieszenia Dziesięciu Przykazań. Kwitowano ją ironicznym aplauzem, gwizdem, podchwytliwymi pytaniami. Kadra oficerska siedziała zakłopotana, następnego dnia, na drugim wykładzie oficerów już nie było.

Z wykładu na temat Starego Testamentu klerycy robili notatki. Notowanie było zabronione, zatem Popieluszko i dwaj inni usadowili się strategicznie w kilku punktach sali i tam, osłonięci kolegami, pilnie notowali przebieg dyskusji. Gdyby „pilnowacz” zabrał jednemu notatki, byłyby jeszcze te, sporządzone przez dwóch pozostałych kleryków.

„Tego wieczoru — opowiada J.S. — zebraliśmy się potajemnie, aby sporządzić czysty i dokładny zapis wykładu celem dostarczenia go władzom kościelnym. Nocą, gdy materiał był już gotowy, jeden z nas uciekł przez dziurę w płocie i pobiegł do Babcici. Ona już wiedziała, co z tym dokumentem zrobić. Kanałami, których proszę nie ujawniać, przesłała kompromitujący materiał do Warszawy. Papiery znalazły się na biurku Prymasa, który natychmiast zareagował wysyłając protest. Jakież było zdumienie naszego dowódcztwa, gdy cała sprawa wyszła na jaw”.

Szczególną przykroć sprawiały klerykom ataki na dostojników kościelnych, a zwłaszcza na Prymasa. Ataki te opisał w jednym ze swych listów Alek Popieluszko. „Dzisiaj mieliśmy polityczne z niejakim panem Chorążewiczem. Przez całe siedem godzin mówił o stosunku państwa do Kościoła (...). Ks. Prymas przedstawiał w najbardziej czarnym świetle. Wszystkiemu, co złe, winien jest ks. Prymas Wyszyński; że Papież nie przyjechał do Polski — ks. Kardynał winien (...). Nie będę wszystkiego przytaczał, bo zanotowałem dzisiaj tego czternaście stron, ale myślę, że te parę cytatów pozwoli Ojcu chociaż trochę wyobrazić sobie przebieg wykładów

politycznych. Jedno chyba jest ważne, że ten Chorążewicz wyjechał od nas zmyty. Kiedy został przegrany do muru, przyznał nam wiele racji...'' (G. Sikorska, Prawda warta życia. Ks. Jerzy Popiełuszko, Londyn 1985, s. 14-15.)

Wykładowcy szargali każdą świętość. „Pamiętam referat o Piusie XII — pisał ks. A.O. — Próbowałem nam tego papieża przedstawić jako wroga Polaków i poplecznika hitlerowców. Jasne było, że chętnie obarczyliby Go winą za przebieg II wojny. Wstał wtedy B.D. i wyjaśnił panu pułkownikowi, że Pius XII uratował życie wielu Żydom i bynajmniej nie był wrogiem Polaków. Pułkownik, błądy i czerwony na przemian postawił Bronka na baczność, zbeształ go i... wykład zakończył”.

Bunt i gorycz kleryków znajdowały ujście nie tylko w ostrych czy dowcipnych dyskusjach, ale także w podobnym tonie formułowanych pracach pisemnych. J.S. do dziś wspomina wypracowanie Popiełuszki na temat Katynia. „Nawet redaktorzy Wolnej Europy lepiej by tego nie napisali”.

Czy był czas na studia teologiczne? Zająć było wiele. Naukę utrudniały też przyczynny obiektywne. Z relacji „Przemysła” wynika, że „dużym problemem było samo przechowywanie materiałów naukowych. Skrypty nie wolno pod żadnym pozorem, bo zaraz zabiorą; książki — tylko wydawnictw państwowych, wydane po wojnie. Tak wyglądała teoria. W praktyce było trochę inaczej. Często robiono apele mundurowe, na których rewidowano plecaki, szafki, sienniki. Wszystko to pod pozorem sprawdzenia całości umundurowania. Jednak zabierano nawet te książki, które sam prokurator pozwolił trzymać. Nie mogli się z tym pogodzić, że uczymy się przedmiotów seminaryjnych, a wojskowe mamy gdzieś daleko.

W pewnym okresie nie wolno nam było czytać książek religijnych na świetlicy; zabierali je mówiąc 'odbieracie przy odejściu do rezerwy'. Gdy się chciało studiować, trzeba było dobrze ukrywać wszystkie materiały. Sytuacja zmieniła się dopiero pod koniec służby, kiedy na wszystkie ich zakazy przestaliśmy zwracać uwagę. (...) Bardzo pomocne okazały się opracowania w formie zeszytowej. Pod pozorem studiowania przedmiotów wojskowych wkładało się własne materiały... przynajmniej nie rzuciły się w oczy tak, jak książka”.

Czytanie i studiowanie teologii w czasie wykładów było zabronione, ale zakaz ten łamano. W liście do ks. prałata Mietka Alek Popiełuszko dziękował mu za przysłanie „Naśladowania Chrystusa”. Pisał on: „jest to bardzo 'wygodna' książka, dlatego zawsze noszę ją w kieszeni, bo na politycznym, którego mamy po same uszy, można z niej skorzystać i śledzić piękne myśli w niej zawarte”. (G. Sikorska, op. cit., s. 11.)

Sporo książek znajdowało się na plebanii, ale chyba najwięcej przechowywano u Babci — tam w wolnych chwilach, na „lewych” przepustkach, koncentrowali się maksymalnie. Niektórzy, bardziej odważni i pomysłowi trzymali swoje podręczniki na terenie koszarów, oto np. F.F. chował swoje książki w szafie... dowódcy plutonu.

Szkoleń było w nadmiarze; szansa nauki — miżerna; wyjścia do kościoła mocno ograniczone. Kleryk dostawał przepustkę do kościoła średnio raz na dwa tygodnie. Przyszłemu duchownemu nie wystar-

czało. Zatem starym zwyczajem uciekał przez płot. Po takim samowolnym opuszczeniu koszar Popiełuszko został wezwany do dowódcy plutonu. „Najbardziej wkurzyłem p. porucznika, gdy po dwu i półgodzinnej jego gadce do mnie zacząłem głupecznie ziewać. Pokazałem mu, że mnie jego gadanie mało obchodzi. To go poniosło”. (G. Sikorska)

Ukarano go. Karano innych. Znosili to mężnie. „Bóg nas doświadcza — pisał „Przemysła” — ale nigdy ponad nasze siły; zawsze dodaje sił do pokonania trudności. Sami jesteśmy stabi, ale za św. Pawłem możemy powtórzyć: wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia”. Modlitwa wspólna umacniała ich duchowo, jednoczyła. Czasami jej zakazywano, czasami tolerowano.

„Wspólną modlitwę praktykujemy w dalszym ciągu — pisał Popiełuszko. — Wspólny różaniec, wieczorna modlitwa, w piątek Droga Krzyżowa, a w święta recytowana Msza św. Można powiedzieć, że już nie przeszkadzają tak w modlitwie, choć może to być okresowe, jako eksperyment”. (G. Sikorska)

Ale w lutym 1967 roku Popiełuszko relacjonował już inne nastawienie dowództwa. Jako jeden z liderów Alek został ukarany — bynajmniej nie pierwszy już raz. Czuł się powołany do tego, aby cierpieć za innych: „nieraz miałem pewne wątpliwości, czy rzeczywiście debrze robię stawiając czoła, cierpiąc za innych (...). Okazałem się bardzo twardy; nie można mnie złamać groźbą, ani torturami. Może to dobrze, że to akurat jestem ja, bo może ktoś inny by się załamał i jeszcze innych wkopał”. (G. Sikorska)

Pretekstem do prześladowań był różaniec. „... dowódca plutonu kazał mi zdjąć z palca różaniec na zajęciach przed całym plutonem. Odmówiłem, czyli nie wykonałem rozkazu. A za to grozi prokurator. (...) Wyśmiewał się, że 'bojownik za wiarę'. Ale to wszystko nic. O 17.45 w pełnym umundurowaniu... stawiłem się na podoficerce, tam sprawdzian trwał do 20.00... zaprowadzono mnie do dowódcy plutonu. Tam się zaczęło. Najpierw spisał moje dane. Potem kazał mi się rozebrać, wyciągnąć sznurówki z butów i rozwinąć onuce. Stałem więc przed nim na boso. Oczywiście, cały czas na baczność. Stałem jak skazaniec... Starał się mnie ośmieszyć. Poniżyć przed kolegami, to znów zaskoczył możliwością urlopów i przepustek. Boso stałem godzinę... chłopaki wspólnie odmawiali różaniec w mojej intencji. Ja zbywałem go milczeniem odmawiając modlitwy w myśli i oddając cierpienia powodowane przygniatającym ciężarem plecaka, maski, broń i hełmu, Bogu jako przebłaganie za grzechy. Boże, jak się lekko cierpi, gdy ma się świadomość, że się cierpi dla Chrystusa. (...) O różańcu wspominał mi tylko pod koniec naszej rozmowy. A tak cały czas mówił o różnych rzeczach, że miałem przedtem autorytet na sali, a teraz jestem narzędziem w ręku innych, tchórzy, którzy sami boją się narażać. Oczywiście zmyślone — chęć pokłócenia z kolegami. Ale na takich chwytach się znamy. O 22.00 przyszedł polityczny (politik), kazał mi zdjąć różaniec przy nim. A niby z jakiej racji? (...) Zwolnił mnie o 23.00 (...). Poszedłem na salę sypialną. Nie zdążyłem się położyć, gdy dowódca dyżurny ogłosił alarm... Na alarm wybieraliśmy się zamiast 8-9 minut, 18 minut (...).



Dowódca plutonu rozkazał dowódcy drużyny, aby następnym razem przyprowadził mnie na taką rozmowę z RKM-em na szyi, który waży 15 kg. A rozmowa będzie trwała nie trzy godziny, ale od 4-5 godzin z zastosowaniem odpowiednich metod. Mam stanąć przed sądem koleżeńskim, jako buntownik. Do Seminarium mają wysłać pismo z moją opinią (...). Otóż powiedziano mi na rozmowie, że nie ma siły, żebym kiedykolwiek pojechał na jakikolwiek urlop. Programowy też mi zabiorą. A gdyby nawet mama umarła, to nie będę mógł pojechać do domu. A dla pewności, żebym nie uciekł, za zgodą dowódcy kompanii zamknę mnie na ten czas do aresztu". (G. Sikorska)

Dowódca plutonu, znany sadysta i człowiek pełen nienawiści do wszystkiego, co katolickie ukarał Popiełuszkę i jego kolegów w Wielki Piątek 1967 roku pamiętnym marszobiegiem. Była to kara za wspólne odmawianie różańca. Ponad trzydziestu kleryków bieгло ciężko dysząc. Byli bardzo głodni — podano im mięso, którego nie tknęli mimo krzyków i gróźb. Gdy dobiegli do sosnowego lasu, padła niezwykle komenda.

— Na czubek so-sen!

„Ręce, nogi, mięśnie grzbietu mdlały, odmawiały posłuszeństwa — wspomina ks. J.S. — Ale cóż było robić. Gdy już wspięliśmy się na drzewa, padła komenda, aby w szybkim tempie zejść na ziemię. Z uczuciem ulgi zsuwaliśmy się pospiesznie po chropowatej korze, raniąc sobie dłonie. I znów padały komendy: na czubek sosen i z powrotem, na czubek sosen i z powrotem... Modliłem się w duchu, aby nie zarobić na szorowanie klozetów lizolem. Nie byłoby to najmilsze lekarstwo na poranione ręce. Późnym wieczorem, mimo koszmarne zmęczenia, wróciło nam poczucie humoru. Coś nas opętało. Jakoś przecież musieliśmy odreagować. Błaznowaliśmy dobrą godzinę.

— Czyż to nie fascynujące chociaż raz w życiu pobujać się na gałęzi jak małpa? — żartowałem.

— Chłopaki, staczamy się z tych gałęzi coraz niżej — jęknął R., który jeszcze nie całkiem doszedł do siebie. — Z kleryków zrobili żołnierzy, a z żołnierzy małpy. Ciekawe, co będzie dalej?

— Czym się martwić — odpartem. — Z pomocą papy Darwina dźwigniemy się z upadku.

— Osobiście mam nadzieję, że stopień umalpień powiększy się wśród tych, co się bujają na oficerskich stołkach — powiedział Alek z poważną miną, co wywołało jeszcze większą burzę śmiechu".

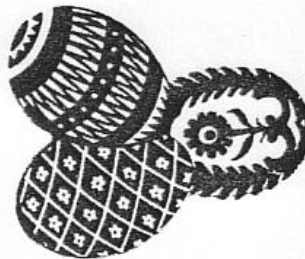
Na co dzień nie było im do śmiechu. Uczuciom swoim i innym dał wyraz kleryk J.Sk., kiedy pod wrażeniem lektury A. Kozłowieckiego „Ucisk i strapienie" krzyknął pod adresem oficera:

— To nie wojsko, to obóz koncentracyjny.

Następnego dnia, podczas porannego apelu odczytano rozkaz, w myśl którego szeregowy J.Sk. skazany został na cztery dni aresztu wewnętrznego za „nazwanie jednostki wojskowej obozem koncentracyjnym, oficerów — SSmanami, a kaprali — kapo".

Rozległ się niepohamowany śmiech kleryków. Kilka dni aresztu kolegi było niczym w porównaniu z kompromitacją dowództwa, które na tak blahe afery reagowało na forum publicznym.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)



## DELTA OVERSEAS TRAVEL SERVICE

Myślisz o sprowadzeniu bliskich na wypoczynek do Australii?

A Twój budżet na to nie pozwala?

DELTA JEST BIUREM KTÓRE ROZUMIE TWOJE MOŻLIWOŚCI.

MAMY DLA CIEBIE PROPOZYCJĘ:

**3 MIESIĄCE W AUSTRALII**

**1295 AUD**

WYLOT Z POLSKI W CZERWCU — POWRÓT DO POLSKI WE WRZEŚNIU

ZAPRASZAMY DO NASZYCH BIUR:

BANKSTOWN	SYDNEY	BLACKTOWN	FAIRFIELD	NEWCASTLE
12 Fetherstone St.	428 George St.	16 Main St.	4a Dale St.	468 Hunter St.
Tel. 796 7264	Tel. 27 9446	Tel. 622 5293	Tel. 726 9451	Tel. 29 2713

**Ernestyna Skurjat**

## KONSTANCJA - BABCIA KLERYCKA

(OPOWIEŚĆ W ODCINKACH)

Osobnym rozdziałem wojskowego żywota były ćwiczenia i rozmaite prace fizyczne. „Nie robiono sobie żadnych nadziei na to, że będą z nas kiedyś dobrzy wojacy, zatem używano nas do rozmaitych prac — wspomina ksiądz A.O. — Przez kilka miesięcy zatrudnieni byliśmy przy budowie fabryki domów mieszkalnych w Bartoszycach, gdzie pracowaliśmy jako robotnicy kategorii 'przynies, podaj, pozamiataj'. Mimo wszystko był to bardzo dobry czas, bo byliśmy poza kosztarami i mieliśmy kontakt z normalnymi ludźmi (...) Często szliśmy do pracy piechotą. Ilekroć mijaliśmy więzienie, śpiewaliśmy głośno i z własnej inicjatywy 'Pieśń armii zaprzyjaźnionych'. Jej refren zaczynał się tak: 'Ten sam, ten sam jest los i twój i mój...' Towarzyszący nam podoficerowie dziwili się naszemu śpiewaczemu zapałowi, ale czy aluzję pojmowali?''

Z największą goryczą wspominali klerycy budowę strzelnicy. Ubrani w obskórne kalosze, uzbrojeni w „łopaty bojowe" całymi tygodniami toczyli bezsensowny bój z hałdami piachu. Bezsensowna, ogłupiająca, syzyfowa praca. Budowali nasypy, które potem kazano zrównać z ziemią, po czym musieli wznosić następne. Było to przelewanie z próżnego w pustę. „Praca monotonna, którą możnaby przy pomocy spychaczy i innych maszyn załatwić w kilka dni — wspomina ks. A.O. — Ale myśmy byli prawdopodobnie lepszymi maszynami (...) wyrazem naszego ducha pracy był pomysł udokumentowany zdjęciem. Mniej więcej na środku strzelnicy usypaliśmy wielki grób, a na nim ułożyliśmy napis z patyków. 'Tu spoczywa ostatni jeleń, zmarły śmiercią tragiczną, zanudzony na strzelnicy'. Śmiechu było co niemiara. Nasi przełożeni pienili się ze złości i grozili karami dyscyplinarnymi, ale ponieważ nie mogli się dowiedzieć, czyj to był pomysł, nikt nie został ukarany''.

Gorycz, przekora, nuda i upokorzenie znajdowały ujście w improwizowanych wierszykach i może nie najgustowniejszych piosenkach, jak np. w tej, zachowanej we fragmentach „Odzie do łopaty".

*Kocham cię, łopato,  
A gdyby na cię psioczył jakiś cynamonek,  
Kij mu w plecy,  
Niech cię pocałuje w trzonek.  
Gdy dowódca złapie w pracy na laserce,  
Ciężko jest potem, milcz serce.  
Abyśmy lepiej zrozumieli  
Sens pracy i politykę,  
Dowódca zarządza z łopatą praktykę:  
Najpierw słyszysz — biegiem, marsz, padnij  
i powstani  
(...)  
Biegniesz na oślep z łopatą,  
Przyciskasz ją do łona...*

*A ona? Chyba zadowolona.*

*Ty padasz, ona z tobą się kładzie.*

*Powtarzasz z nią te czynności*

*Ze sto razy bez mała.*

*A inna by tak chciała?*

*Czasem przy pracy opada mi łza gorąca,*

*Kochana łopato,*

*Rozstaniemy się za 13,5 miesiąca.*

*Przecież tylko dzięki tobie*

*Cieszę się dostatkiem,*

*Obdarzony codziennie*

*Kiebasianym jadkiem.*

*Czasem wśród bezsennych nocy marzę,*

*Ach, gdybym tak mógł ładnie się ubrać*

*Jak komandosi, lotnicy, marynarze...*

*Ale teraz zmadrzałem,*

*Co mi tam lampasy, rękawiczki, sznury.*

*To są wszystko bzdury.*

Praca kulturalno-oświatowa, stały element życia koszarowego, była w gruncie rzeczy jeszcze jedną metodą zawładnięcia duszami kleryków, tworzenia wśród nich podziałów, wywoływania zawiści. Plagą były konkursy o tematyce gospodarczej, społecznej, politycznej. Wyznaczeni „ochotnicy" musieli marnować cenny czas. Do brania udziału w wieczornicach i akademiach często zmuszano rozkazem. Biada temu, kto na początku służby ujawnił jakieś umiejętności, zainteresowania. Trudno potem było się wycofać, czy odmówić. Przełożeni tylko szukali pretekstu do tego, aby kleryka ukarać dyscyplinarnie.

Niektórzy, nieświadomi założeń takich akcji, sami zgłaszali się do pracy w kółku artystycznym. A. O., który umiał grać na pianinie i akordeonie, spędzał czas na próbach, w suchej, ciepłej sali, podczas gdy koledzy „tarzali się w błocie". Gdy pewnego dnia przyjechał do kleryków profesor seminarium, poinformował on kleryka A.O., iż życzeniem przełożonych duchownych jest, aby zaprzestał działalności artystycznej; nie chodziło o utratę szansy grania na instrumentach, ale o uniknięcie grywania na zabawach miejskich, gdzie oferowano alkohol i gdzie były roztańczone kobiety.

Świetlice wojskowe miały jedną zaletę: były sposobnym miejscem do płatania przeróżnych figli i forteli. Ironia i przekora były czasami jedyną dostępną klerykom metodą protestu i samoobrony psychicznej. Drobnie, czasami nieprzemyślane i w najmniej odpowiednim guście akcje zbiorowe i indywidualne skutecznie pomagały zachować spokój ducha, ocalić poczucie godności własnej, zyskać energię tak potrzebną do przetrwania trudnego okresu próby.

Każdy kleryk po swoim manifestował swą dezaprobatę i dla systemu, w którym mu przyszło żyć i dla metod stosowanych przez dowództwo jednostki. Opowiadał ks. J.S., jak to jego kolega E.F. „kap-

ciem prań Lenina", a raczej jego popiersie stojące w świetlicy. Za „obrazę majestatu” kleryk stanął do raportu. Groziło mu kilka lat więzienia. Tylko smutny przypadek uratował go od tej kary. Następnego dnia, kiedy cały pluton pracował nad rzeką, E.F. spadł z błotnistej zbroczy; z poważnymi obrażeniami kręgow szyjnych zabrano go na bardzo długie i specjalistyczne leczenie.

W niedzielne popołudnia wyświetlano w świetlicy filmy; obecność była obowiązkowa. Podczas projekcji filmu o Leninie padło tyle złośliwych uwag, że obraz ten wycofano, a w zamian wyświetlono film kowbojski. Dużo było filmów propagandowych oraz takich, których treść godziła w religię. Klerycy często stosowali sprawdzoną metodę przerwania seansu; jeden z nich rzucał komendę „kompania — capstrzyk” (co w języku cywilnym oznacza „spać”), a pozostali natychmiast zaczynali „chrapać”.

W każdej świetlicy wisiały gazetki ściennie. Uzdolniony plastycznie P.U., kolega Popiełuszki z tego samego plutonu, przyozdobił jedną z gazetek wyciętym w steropianie drukiem gotyckim. Był to skrót pewnej nazwy. Przyszedł kapitan L. i zaczął podejrzliwym wzrokiem przyglądać się gotykowi. Dręczyło go podejrzenie, że te litery to INRI.

— Gazetka, to nie krzyż, a świetlica nie kościół. Zerwać to ale już!

— Ależ panie kapitanie — szczerze zdziwili się klerycy. — Co litery TKOP mają wspólnego z kościołem?

TKOP znaczyło: Trzecia Kompania Obrony Przewodniczej.

Zawstydzony kapitan opuścił świetlicę bez słowa. Podejrzliwość oficerów była nie mniejsza, niż ich ignorancja. W dniu urodzin kolegi klerycy zaśpiewali mu „Plurimos Annos”, łacińską wersję „Stu lat”. Po chwili do świetlicy wbiegł polityczny z krzykiem, że pieśni kościelnych w wojsku śpiewać nie można. Klerycy ucichli, a po chwili zaintonowali inną pieśń, za pomocą której chcieli zmierzyć głębię intelektualną „politruka”.

— Gaudeamus igitur, iuvenesdum sumus . . .

Drzwi otworzyły się z trzaskiem. Wysoce wykształcony Towarzysz Magister nie wiedział, czy już nie pamiętał, że to znana, uroczysta pieśń studencka.

Zupełnie niezamierzony fortel miał miejsce w Boże Narodzenie 1967 roku. Klerycy pragnęli ustawić choinkę w świetlicy; dowództwo zabraniało tego „ze względów bezpieczeństwa”. Podczas ćwiczeń w lesie klerycy wycięli niewielką choinkę i przemycili na teren koszar. „W nocy przynieśliśmy ją do izby żołnierskiej — wspomina A.O. — Gdy część kolegów z plutonu poszła na wigilię do Babci i na pasterkę do kościoła, my ustawiliśmy i udekorowaliśmy choinkę. Jeden kolega zdobył magnetofon z kolumnami. Cóż, skoro w izbie nie było gniazdka elektrycznego. Ale od czego pomysłowość. Wykreśliłmy oprawkę żarówki i połączyliśmy drutem (. . .) Niespodziewanie nadszedł szef kompanii. Szybko wyłączyliśmy światło i siedzieliśmy cicho w ciemności. A on chciał zapalić światło i wsadził rękę do puszeki kontaktu, która nie pamiętam już czemu, była otwarta. Trochę go potrząsało. Dał nam taki koncert przekleństw, jakiego już dawno nie słyszeliśmy. Od razu zarządził zbiórkę plutonu na korytarzu. Pierwsze pytanie było, kto go tak urządził. Pienią

się jeszcze dość długo, groził nam najstraszniejszymi konsekwencjami. Ale jakoś afera ucichła”.

Po tygodniu wyczerpujących ćwiczeń, ogłupiających szkoleń i zmęczenia wysiłkiem fizycznym klerycy szli masowo do kościoła. Na przepustkę, lub bez. W najlepszych czasach na przepustkę wychodziło jednorazowo pięćdziesięciu kleryków. Jedni szli najpierw do kościoła, a potem do Babci, inni odwrotnie.

„Podział taki — wyjaśnia ks. J.S. — był koniecznością, ponieważ w mieszkaniu Babci mieściło się jednorazowo nie więcej, niż 20 osób. Kościół i Babcia to były dwie nierozdzielne rzeczy. Plebanie można było ewentualnie ominąć, ale Babcię — nigdy”. W sali parafialnej stały suto zastawione jadłem przygotowanym przez siostry zakonne. Była i świetlica i biblioteka zorganizowana przez serdecznie do dziś przez wszystkich wspomnianego ks. Józefa Wysockiego. Stwarzano im na plebanii jak najlepsze warunki . . . Ale widać bardziej potrzebowali DOMU.

Szalona popularność „babci kleryckiej” budziła zazdrość niektórych duchownych. W pierwszym okresie nie było mowy o żadnej „rywalizacji” między Babcią, a plebanią. Księża A. Setlak i J. Wesołowski doceniali rolę Babci i utrzymywali z nią nader serdeczne stosunki. Sytuacja zmieniła się dopiero wtedy, kiedy przysłani przez Episkopat duchowi opiekunowie kleryków wprowadzili w okresie trudnej próby rygor i sztywną atmosferę. Rygoru dość mieli w koszarach, zatem tym chętniej zaglądali do Babci — plebanie omijając.

Ze zrozumiałych względów wizyty kleryków u Babci denerwowały także dowództwo jednostki. Kleryk E.B. w liście do rektora seminarium pisał, iż „babcia razem z nami przeżywa nasze trudności i kłopoty, często interweniuje u dowódców, których zna csobiscie”. Wnuczka Lola opowiadała, że Babcia „jak trzeba to i kapitana opluła, a co najmniej nawymyślała za nieludzkie traktowanie kleryków”. Chętnie o takich potyczkach opowiadała sama Konstancja. Starła się kiedyś z dowódcą politycznym zwanym „ojcem Zenonem”.

— Przychodzi taki do mnie i obraża, i wymyśla, i straszy. Ot, durak. Czy ja się kiedyś kogo bała? Ale nic, słucham. Myślę sobie, o gadania jest, to niech sobie pogada.

— No i co? — dopytywali się klerycy. — I jak Babcia zareagowała?

— A ja mu na to „a pocatuj mnie w . . .” — i tu się lekko zarumieniła, bo choć język miała niewyparzony, to przy klerykach starała się swój narząd mowy kontrolować.

— Dziwne to, Babciu. Przecież ci sami oficerowie, zrugini przez ciebie, głęboko ci się na ulicy kłaniają — zauważył J.S.

— A niechby tylko spróbowali inaczej — roześmiała się.

Była dla kleryków postacią charyzmatyczną, bez wątpienia. „Była dla nas wzorem pobożności i apostołstwa — pisał E.B. — Jej życie religijne jest naprawdę głębokie. Tak czystą wiarę, bez jakiegos fanatyzmu, bez jakiegos dewocji w ujemnym znaczeniu, trudno spotkać u ludzi w podeszłym wieku”.

W mieszkaniu jej panował nie tyle „twórczy”, co raczej „humanitarny” nieład. Była to przedziwna

mieszanina hotelu, kaplicy, jadalni, czytelnia, salonu towarzyskiego, magazynu rupieci. Popietuszek musiał dość barwnie opowiadać o tej szczególnej, panującej tam atmosferze, skoro jego rodzice jeszcze do tej pory pamiętają trochę szczegółów i ten „otartyk, na którym zawsze świeciło się czerwone światło”.

„To niepojęte — opowiada ks. J.S. — aby taka staruszka obsługiwała dwustu chłopaków. Nie mieści mi się to w głowie, skąd miała tyle sił? Każda inna gospodyni załamałaby się już po kilku tygodniach stałego nalotu gości. A ona trwała na posterunku przez tyle, tyle lat...”

W dni powszednie gości bywało mniej. Czasami urywali się z prac w parku lub nad rzeką. Mogła wtedy poświęcić im więcej czasu i uwagi. Ale nie zawsze była w domu. Pod jej nieobecność grupa kleryków pod nadzorem J.Sk. (który przed pójściem do seminarium zdobył zawód cukiernika) upiekł jej tort imiennowy z napisem „Kochanej Babci — wdzięczni klerycy” oraz wysprzątał mieszkanie. Jakież było jej zdumienie, że oto ktoś zrobił coś dla niej.

Dla oficerów z Bartoszyca lata 1966-1968 były trudne i denerwujące m. in. dlatego, że w sąsiednich okolicach odbywała się seria wielkich uroczystości religijnych: koronacja podobizny Matki Boskiej w Świętej Lipce i Gieczwałdzie oraz obchody 400-lecia Wyższego Seminarium Duchownego „Hosianum” w Olsztynie. Z uroczystościami tymi wiązał się, jak to określili klerycy, „najazd biskupów na Bartoszyce”. Uroczystości religijne uświetniali swoją obecnością najwyżsi dostojnicy kościelni, którzy — niejako po drodze — pragnęli odwiedzić liczną grupę kleryków bartoszyckich.

Perspektywa „najazdu biskupów” spędzała oficerom sen z powiek, niejeden nabawił się wrzodów żołądka. Szczególnie zdenerwowani byli oficerowie przed pierwszą wizytą dostojników. Wpadli w panikę: bali się reakcji swoich przełożonych z Warszawy, jeszcze bardziej bali się rozmowy z biskupami, która z pewnością miałaby przebieg niezbyt dla nich miły. Ale bram koszar nie można było zamknąć bez powodu. Potrzebny był powód. I powód znaleziono. Całą jednostkę kleryczną wysłano w teren na trzydniowe ćwiczenia.

Przed drugim „najazdem” dowództwo zastosowało podobny, nieco lepszej klasy unik: wywieziono kleryków autokarem na wycieczkę do Trójmiasta. W odwecie za tak tchórzowskie manewry klerycy zaczęli rozpuszczać pogłoski o rzekomo zbliżającej się wizycie kardynała Casaroli. Pogłoski te, przekazywane były oficerom przez „braci podłączonych”. Klerycy z satysfakcją obserwowali nerwową krzątaninę i nadspodziewanie liczne narady kadry oficerskiej. Dostojnicy z Watykanu naturalnie nie przybyli, ale pod koszary podjechała kawalkada samochodów wiozących dostojników Kościoła Polskiego. Za późno było na jakikolwiek manewr, za późno na konsultację z Warszawą. Było nie do pomyślenia, aby dostojnych gości nie wpuścić choćby do Klubu Garnizonowego.

Była to krótka, kurtuazyjna wizyta. Prawdziwie serdeczne i dłuższe spotkanie z klerykami odbyło się dopiero na terenie plebanii. Karol kardynał Wojtyła, starym zwyczajem odwiedzania prostych ludzi

postanowił złożyć wizytę znanej z opowiadań Babci i osobiście podziękować jej za opiekę nad klerykami z diecezji krakowskiej.

Konstancja dostąpiła już kiedyś zaszczytu spotkania Prymasa Wyszyńskiego; od czasu do czasu składał jej wizyty biskup lub rektor seminarium. Ale tej wizyty zupełnie się nie spodziewała. Jakże zdumiona i szczęśliwa była, gdy w jej skromnych progach pojawił się młody, postawny kardynał. Ku jego rozbawieniu, zmylona jego wiekiem, potraktowała go jak syna.

— Siadaj, synok, siadaj. Takiej herbatki, jak moja, to nigdzie nie dostaniesz, mileńki — i krzątała się przy kuchni z typową, kresową gościnnością. Dostała od przyszłego papieża upominek pieniężny oraz zdjęcie z dedykacją.

Po odjeździe dostojnego gościa długo stała przed domem. Na pytanie sąsiadek, kogo podejmowała, odrzekła z uśmiechem:

— A to był *mój Wojtyłko*.

Uznanie duchowieństwa było dla niej największą nagrodą za wszelki trud i poświęcenie. W styczniu 1968 roku na honorowym miejscu, pośród licznych tableaux, zawisła pamiątka najcenniejsza: odręczne błogosławieństwo papieża Pawła VI. Jak je zdobyła? Ksiądz J.S. opowiada, iż grupa profesorów seminarium duchownych będąc na audiencji u Ojca Świętego w Wigilię 1967 roku błogosławieństwo to dla niej uzyskało. Na estetycznie wykonanej karcie z podobizną papieża widnieje tekst: „Ojciec Święty, Konstancja Skurjat prosi Waszą Świątobliwość o specjalne Błogosławieństwo Apostolskie jako zadatek obfitych łask Bożych”. A pod spodem pismo papieża: „Summo Dominus Benedictionem Apostolicam concedit. Ex Oedibus Vaticanis die 24.XII. 1967”.

Służba wojskowa Popietuski i jego współpracownicy zbliżała się ku końcowi. Nadszedł marzec 1968. W koszarach panował stan gotowości bojowej. Rewizjom nie było końca. Przetrzęsano wszystko w poszukiwaniu manifestów i ulotek... Ale materiały nadchodziły na adres Babci, tam z reguły były czytane i przechowywane. Jej mieszkanie było pod ciągłą obserwacją, do rewizji jakoś nigdy nie doszło. Syn Feliks wspomina, że grożono matce przeniesieniem do PGR-u i zabranie mieszkania, ale nieustraszona kobieta dalej robiła swoje. Ostatecznie staruszkę zostawiono w spokoju... prawdopodobnie na skutek interwencji wpływowych osób.

Pewnej nocy syrena zawyła na alarm. Rozpoczęła się kolejna rewizja kleryków. Popietuszek, który zapomniał zostawić materiały u Babci, miał kieszeń pełną ulotek. Spojrzał znaczącym wzrokiem na życzliwego mu kaprała i ostrożnym gestem zaczął wyjmować papiery z kieszeni. W oczach jego było tak usilne błaganie, że kaprał — ryzykując nie tylko karierą, ale i więzieniem — schował ulotki do tylnej kieszeni swoich spodni. Udało się, jego nie sprawdzano.

Końcowy okres pobytu w wojsku wykorzystywany był przez władze wojskowe, a także aparat bezpieczeństwa do natarczywych ataków na alumnów. Wzywano ich na „rozmowy”. Tam, gdzie nie skutkowało kuszenie, stosowano szantaż. Najczęściej obiecywano klerykom wolny wstęp na studia na dowolnie wybraną uczelnię. Rację mieli ci, którzy nie

poszli na lep obiecanek, ponieważ takich relegowano potem z uczelni pod byle pozorem. Kuszono kleryków także rozmaitymi dotacjami, mieszkaniami poza kolejką, byle tylko zrezygnowali ze stanu kapłańskiego. Sięgano i po tak naiwne metody, jak psucie opinii klerykom zarówno w oczach społeczeństwa, jak i u władz kościelnych. Oto np. próbowano zmusić ich do wzięcia udziału w pochodzie pierwszomajowym... pod rękę z licealistkami. Odmówili, bo wiedzieli, czym może to się skończyć: błysk flesza, wysłanie „dowodu rzeczowego” do seminarium i skreślenie z listy studentów.

Mimo całej tej akcji tylko kilku kleryków załamało się. Tymczasem raporty dowództwa roily się od danych statystycznych oraz szacunkowych, określających liczbę kleryków, którzy albo już „zostali pozyskani dla sprawy socjalizmu”, albo już niedługo pozyskani będą. Takiego rodzaju raport miał być wygłoszony na dużym forum partyjnym. W noc poprzedzającą naradę słynna Strona Trzynasta zawierająca owe dane została wykradziona ze sztabu w okolicznościach, których ujawnić nie możemy. Łatwo sobie wyobrazić konsternację oficera, który wygłaszając referat dnia następnego doszedł do tak istotnej strony trzynastej... Tymczasem strona ta leżała sobie bezpiecznie w babcinym kredensie. Wkrótce, wiadomymi Babci kanałami wysłana została do Episkopatu.

Odejście do rezerwy było dla kleryków dniem niezapomnianym. „Tego się nie da opowiedzieć. To był szal radości — opowiada ksiądz M.L. — Ostatniego dnia, ryzykując przedłużenie służby o dwa tygodnie, trzymałem ubranie cywilne pod poduszką”.

Dłuższą relację o wyjściu do cywila znajdujemy w pamiętniku „Przemysłaka”. Uwagę zwraca nie tylko łagodniejszy już stosunek kleryka do „gnębieli”, ale także i ujawnienie ludzkiej strony oficerów. We czwartek, 17 października 1968 roku klerycy zdali umundurowanie. „O godzinie 9.15 przywdzialiśmy ubrania cywilne. Pierwszy pożegnał się z nami dowódca plutonu, wyjeżdżał bowiem w pod-

róż służbową. Życzył nam wszystkiego najlepszego na 'odcinku cywilnym'. Wiele nie mówił.

— Jak było, tak było, ale skończyło — powiedział, po czym krzyknął: — Baczość, równaj w prawo. Czołem kompania... — ale nie dokończył, bo rozplakał się i czym prędzej odszedł do gabinetu.

Ciekawa rzecz, jeszcze dwa dni temu szalał ze złości, a dzisiaj tak nas żałował.

Godzina 12.00. Ostatni obiad w wojsku. Po nim serdeczne pożegnanie z kolegami, szefem i niektórymi dowódcami. Deszcz padał od samego rana. Po odwiezieniu nas na stację, szef wręczył nam książeczki wojskowe i bilety. I oto po chwili deszcz przestał padać, chmury się rozeszły i zaświeciło słońce — pogoda wspaniała. Cała przyroda zdawała się cieszyć razem z nami. Udałem się do miasta, aby pożegnać księży, siostry i Babcie (...). Jeszcze ostatnie pożegnalne skinienie ręką i opuszczam te tereny, może na zawsze. Pociąg rusza, mijamy tak bardzo dobrze znane okolice, niejeden raz przemierzone własnymi nogami. O wszystkim, co złe, człowiek zapomina; stara się myśleć tylko o doznanym dobru. W Karszach chwilowa przerwa; na dworcu patrole, ale nikt nie zwraca a nas większej uwagi. Udajemy się do miejscowego kościoła, by tam uczestniczyć we Mszy św. i posilić się Chlebem Żywota. Następnym pociągiem przyjeżdżamy do Olsztyna. Tu razem z kolegami odwiedzamy Seminarium Warmińskie, gdzie wita nas ks. rektor Gulbinowicz. W drodze powrotnej na stację spotykamy jeszcze kilku byłych przełożonych wojskowych. Oczywiście atmosfera inna (...) Widać po ich minach, że im jakoś głupio. Niektórzy się tłumaczyli.

— Cisnęli mnie z góry, musiałem coś zrobić, aby mnie samemu się nie dostało.

Przyznają, że ogólnie dobrze im się z nami pracowało”.

(ciąg dalszy w następnym numerze)

## DELTA OVERSEAS TRAVEL SERVICE

Myślisz o sprowadzeniu bliskich na wypoczynek do Australii?

A Twój budżet na to nie pozwala?

DELTA JEST BIUREM KTÓRE ROZUMIE TWOJE MOŻLIWOŚCI.

MAMY DLA CIEBIE PROPOZYCJĘ:

**3 MIESIĄCE W AUSTRALII**

**1295 AUD**

WYLOT Z POLSKI W CZERWCU — POWRÓT DO POLSKI WE WRZEŚNIU

ZAPRASZAMY DO NASZYCH BIUR:

BANKSTOWN	SYDNEY	BLACKTOWN	FAIRFIELD	NEWCASTLE
12 Fetherstone St.	428 George St.	16 Main St.	4a Dale St.	468 Hunter St.
Tel. 796 7264	Tel. 27 9446	Tel. 622 5293	Tel. 726 9451	Tel. 29 2713

Ernestyna Skurjat

## KONSTANCJA - BABCIA KLERYCKA

(OPOWIEŚĆ W ODCINKACH)

Po obszernym opisie podróży następują rozważania ogólne, podsumowanie okresu spędzonego w Bartoszycach. „Wojsko było dla mnie ważną próbą. Jeszcze raz miałem odpowiedzieć Chrystusowi na Jego wezwanie: 'Oto idę, o Boże, abym pełnił wolę Twoją'. Poznałem środowisko wojskowe i jego problemy. Dało mi także okazję do życia w trudnych warunkach, wśród ludzi niezbyt życzliwych Kościołowi.

Oczywiście nasz pobyt w wojsku miał na celu nie tylko odciążenie nas od kapłaństwa, ale przede wszystkim spenetrowanie naszych umysłów, aby później w razie potrzeby doświadczenia te wykorzystać”.

Wielu kleryków, jak cytowany później A.O., uświadomiło sobie po powrocie do seminarium, iż władze wojskowe dokonały na nich eksperymentu. „Podzielono nas na trzy kompanie. W każdej z nich prowadzono odrębną politykę dyscyplinarną. W pierwszej była względnie luźna dyscyplina. W drugiej — pośrednia. W trzeciej kompanii nacisk polityczny, ideologiczny i dyscyplinarny był najmocniejszy. Rezultat: do seminarium powróciło najwięcej kleryków z trzeciej kompanii, a najmniej z pierwszej. Otóż tam, gdzie dyscyplina była najstrzeższa, tam i opór kleryków był najsilniejszy”.

Z punktu widzenia studiów czas spędzony w wojsku określają klerycy jako „dwa lata wyjęte z życia”. Ich umysły starano się wyjałowić. Powrót do seminarium i normalnej już aktywności umysłowej nastręczał niektórym wiele trudności. „Kułem i kułem przez cały tydzień — wspomina ks. M.L. — i niczego się nie nauczyłem”. Klerycy po wojsku reprezentowali poziom intelektualny znacznie niższy od pozostałych seminarzystów. Dobrze rozumieli to profesorowie i z reguły przez dwa semestry traktowali takich studentów ulgowo, dając szansę nadrobienia materiału i uelastycznienia umysłu.

Sędziwa opiekunka kleryków coraz poważniej zapadała na zdrowiu. Świadomość pełnienia ważnej misji dodawała jej sił w niepojęty sposób i minęło jeszcze parę długich lat, zanim poddała się własnej niemocy. Cierpiała strasznie — w milczeniu. Dokuczał jej reumatyzm, skleroza czyniła spustoszenia w jej umyśle, cierpiała na wiele dolegliwości.

Choroba zaczęła ją poważnie nękać w okresie Bożego Narodzenia 1967 roku. Pod koniem marca 1968 r. kleryk E.B. pisał do rektora swego seminarium: „Korzystając z przepustki do lekarza wstąpiłem do Babci (...) Z początku wszyscy myśleli, że to zwykłe przeziębienie, tymczasem choroba okazała się o wiele groźniejsza, a zarazem dziwna. Żaden lekarz nie jest w stanie postawić trafnej diagnozy. Słabości nie ustępują mimo lekarstw. Bóle głowy, brak sił (...) Ze swej strony modlimy się o zdrowie dla Niej i o ile to możliwe, staramy się ją od-

wiedzać... ale w związku z zajęciami w kraju brak przepustek i urlopów”.

Choroba ta była, zdaje się, następstwem incydentu opisanego w liście do córki, Julii. „Ten ostatni tydzień przed świętami byłam u X. Prosił mnie, żeby dopilnować domu, bo oni jechali na pogrzeb do Gdańska... No więc robiłam wszystko przy koniach, świniach i kurach. A jak szłam z piwnicy z wiadrem węgla, to przewróciłam się i okropnie potłukłam. Upadłam na krowę. I do tego dostałam jeszcze zapalenia płuc i tak wszystko naraz, ale teraz już lepiej. A ten Y. był jeszcze w domu, bo wyjechał dopiero później. Przyprowdził sobie jakąś małpę... i tak sobie siedzieli. Tak oplakiwał swego ojca. Takie to dzieci dzisiaj są”. I poniżej dopisek wyrażający fascynację medycyną. „Trzy razy doktory mnie prześwietlali i badali, to chyba będę żyć”.

I żyła. Wielokrotnie zabierano ją do szpitala, skąd regularnie uciekała. „Gdy dowiedziałam się, że matka w szpitalu — opowiada Nikodem — pojechałam do Bartoszycz. Jak dziecko prosila, błagała, aby ją zabrać ze szpitala. Nie potrafiłem odmówić. Przysięgała, że już czuje się lepiej. Dobrze wiedziałem, co ją tak ciągnęło do domu: klerycy”. Feliksa, któremu po długich staraniach udało się umieścić matkę w sanatorium w Górowie, zmusiła, aby ją jeszcze tego samego dnia zabrał do domu.

Pobyt w szpitalach i sanatoriach uważała za stracony czas. Nie uznawała pojęcia choroby. Swoje dolegliwości ignorowała, a cudzych wyrażała się sarkastycznie. Kpiła z synowej Loli, która przeszła operację dysku: „patrzajcie no, jak chodzi kwęka, tacyż to teraz ludzie miastowi”. Była przekonana, że siłą woli można przemóc każdą słabość, próbowała to udowodnić — choć wiadomo, że kondycja ludzka ma swoje granice.

„Czasami, złożona chorobą, musiała przeleżeć kilka dni w łóżku — wspomina wnuczka Halina — ale gdy spodziewała się kleryków, albo księży, zrywała się, nabierała sił, aby im usłużyć i jak najgłośniej podjąć”. Gdy nasiliły się bóle krzyża, trzeba było chorą zabrać do szpitala. Nikodem znów przyjechał na drugi kraniec Polski, aby odwiedzić matkę. Powalony siłą jej perswazji poszedł do ordynatora. Ten zgodził się chorą wypisać pod warunkiem, że PCK przydzieli jej stałą, codzienną opiekę. W tym to okresie Konstancja stawiała się coraz bardziej niezdolna dla otoczenia. W stosunku do obcych była niemą, wręcz złośliwa. Z PCK szydziła: „ta opieka oczy wypieka”. Nie pozwalała sanitariuszkom nic koło siebie robić. Posądzała je o kradzież rzeczy, które sama gdzieś utknęła i znaleźć nie mogła.

Doglądali jej zaufani lekarze i najbliższa rodzina. Synowa gotowała obiady, syn przywoził je samo-

chodem. Wnuczki robiły pranie i przebierały ją w czystą bieliznę. Od czasu do czasu przyjeżdżały córki; zabierały ją wtedy do Feliksów celem sprawienia porządnej kąpeli, jako że na Świerczewskiego nie było ani wanny, ani ciepłej wody.

Klerycy wciąż przychodzili. Lecz role jakby odwróciły się. Teraz to raczej oni opiekowali się nią. Z własnych pieniędzy kupili lodówkę. Dokonali remontu. Pomalowali mieszkanie. Wymykali się z koszar, aby przynieść węgla, narąbać drwa, napalić w piecu, zrobić zakupy. Kleryk St.K. pisał w 1970 roku, że mimo choroby „ta osiemdziesięcioletnia starszka krząta się i troszczy o swoje dzieciorki (...) Drżąc modlimy się o jej zdrowie. Taka kobieta, to skarb”. Podobnie pisał kleryk B.A. „Odwiedzam Babcię, która cieszy się każdym moim przybyciem. W nocy choruje, a w dzień, gdy przychodzą *dzieciorki*, udaje zdrową i sama ledwie się poruszając pociesza strapiionych”.

Kontakt listowny podtrzymywali z nią, jak zawsze i ci, którzy opuścili Bartoszyce przed laty. Pocieszali ją po swojemu. „Swoje cierpienia ofiaruj czasem w intencji pomocy naszej pracy w Bożym Ogródku, którym jest Kościół i gdzie potrzeba nam będzie tyle siły, cierpliwości, wytrwałości i miłości” — oto fragment listu podpisanego przez „księdza Jasia”. W marcu 1978 roku, kiedy już była bardzo chora i stara, przeczytano jej chyba jeden z ostatnich listów. Ksiądz P.K. pisał: „Współczuję Babci w tej chorobie (...) Wczoraj, w niedzielę odprawiłem mszę św. w intencji o zdrowie i błogosławieństwo Boże dla Babci. Niechaj to będzie mój upominek dla Babci na Imieniny i jednocześnie dowód mej pamięci”.

Złożona niemocą coraz rzadziej chodziła do kościoła. Gdyby miała własny telewizor, żyłaby pewnie nadzieją na transmisję mszy dla chorych i niedołączonych, o które tak zabiegali biskupi polscy w swym liście do rządu we wrześniu 1978 roku. Jednym z sygnatariuszy tego dokumentu był Karol kardynał Wojtyła, który swój podpis złożył tuż przed wyjazdem na pamiętne konklawe. Tymczasem przy domowym ołtarzyku Konstancji księża miejscowi i przyjezdni odprawiali msze św. co najmniej raz w tygodniu. Ksiądz X. przyjeżdżał do niej aż z Białogostoku. „Z Babunią łączyły mnie bardzo szczególne kontakty — pisał w liście do Autorki. — Mówiła do mnie 'ojczyńska'. Przyjeżdżałem do niej co roku, już po opuszczeniu koszar, sam albo z moją matką. Wspominaliśmy wtedy licznych kolegów, których Babcia pamiętała i z nazwiska i z pseudonimem. Po święceniach kapłańskich przyjeżdżałem, aby ją wypowiedzieć i odprawić mszę św.”

Coraz częściej mówiła o śmierci, przygotowywała się do niej. Pewnego razu zapytała Nikodema, co zrobi ze wszystkimi jej pamiątkami: stosami listów, świętymi obrazkami, księgami wpisów, zdjęciami duchownych... „Tyle tego, chyba muzeum założyć” — powiedział Nikodem niby to żartobliwie, hamując łzy cisnące się do oczu. Wnuczce Loli wyraźnie przykazała: „zróbcie mi z tych listów po śmierci poduszkę i włócznie do trumny”. Większość listów, posiadających wartość dokumentalną, spotkał taki właśnie los. Szkoda. W tej „książce-muzeum” starczyłoby miejsca na o wiele większą ilość ekspozatów...

Konstancja z dnia na dzień traciła pamięć i kontakt z otoczeniem. Żyła we własnym świecie majaków, fragmentarycznych wspomnień i zaburzonej chronologii swego długiego, niezwykłego żywota. Nie starczyło jej percepcji na tyle, aby umysłem ogarnąć, aby przyswoić sobie najdonioślejsze wydarzenia w dziejach Kościoła polskiego: tego, że „jej Wojtyłko” zasiadł na Tronie Piotrowym. Żyła wciąż, ale już nie mogło dotrzeć do jej świadomości, ani dać należytej satysfakcji to, że na wieść o wyborze polskiego Papieża władze lokalne zwolniły kleryków z archidiecezji krakowskiej z odbywania służby wojskowej... ani to, że wskutek papieskiej pielgrzymki do kraju ojczystego w czerwcu 1979 roku wszystkich przyszłych duchownych zwolniono od tego obowiązku.

Chora wymagała opieki już nie tylko w ciągu dnia. Nie było mowy o tym, aby mieszkała sama. Na rodzinnej naradzie ustalono, że Emilia — która właśnie przeszła na emeryturę — zabierze matkę do siebie. Na peryferiach Słupska zięć Antoni dobudował do niewielkiego domku pokój i doprowadził centralne ogrzewanie. To, co w kwietniu 1979 roku przewieziono samochodem do Słupska, było już strzępem człowieka. Konstancja mówiła od rzeczy, nie pojmowała, gdzie jest, nie rozpoznawała najbliższych. Całe dni spędzała w łóżku. Czasami miała przebłyski świadomości, potrafiła być wtedy złośliwa i uciążliwa. W takich momentach dawało też o sobie znać jej dawne poczucie humoru. Wystawiła kiedyś nocnik na korytarz tak niezdarnie, że jego zawartość rozlała się. Gdy ktoś z domowników zauważył to, spojrzała zaczepnie i powiedziała: „ajajaj, a kto to tak zrobił?”

Na co dzień drzemiała snem osoby opuszczającej już ten ziemski padół. Tylko wizyty przyjezdnych były dla niej wstrząsem, który przywracał odrobinę pamięci. Tak właśnie było w Nowy Rok 1980 roku podczas odwiedzin Nikodema i Ernestyny. W Słupsku panował wtedy nastrój żałoby. Zięć Konstancji, Pankracy, od dłuższego czasu chory na raka, skończył w noc sylwestrową.

— W mamie też niewiele życia się kołocze — powiedział Nikodem ze smutkiem do córki. — Chodź, pójdziemy zobaczyć się z nią, może już ostatni raz...

Weszli do jej sypialni. Leżała na łóżku nieruchomo, łagodna, bezbronna. Nieoczekiwanie ocknęła się i zażądała... wódki. Umoczyła palec w kieliszku, narysowała sobie kółko na czole i powiedziała zdumiewająco przytomnie. „Zimno. Głowę sobie rozgrzewam”.

Nie wiedzieli, śmiać się, czy płakać. A ona patrząc w sufit mruzczała coś pod nosem.

— Miałam dwóch Nikodemów... Ale jeden gdzieś się zapodział.

— Mamo. Masz dwóch synów. Felek, cały i zdrowy mieszka w Bartoszycach i za parę godzin będzie tutaj. A ja, Nikodem, jestem tu, przy tobie.

Nie słuchała go. Pytała kogoś, dlaczego ksiądz Szubzda spóźnia się. Myślami była najwidoczniej w odległych czasach, w brastawskim kościele. Nikodem, w nadziei, że do matki coś dotrze, zaczął czytać jej list kuzynki opisujący najnowsze dzieje kościoła w Brastawiu.

„Gdybyś Ty widział, jak on pięknie urządzony.

Msza św. odprowadzana jest każdego dnia. Msza po łacinie, a pieśni i kazania na polskiej mowie. Ludzie troszczą się, dają na ofiarę. Dzieci mało. Wiesz, że u nas nikt religii nie uczy w szkole, tłumacząc dzieciom, że Boga nie ma. No, jednak rodzice, którzy pracują w kołchozie, albo na niskich stanowiskach, ciągną dzieci do kościoła. Babcie także prowadzą swoje wnuczka (...). Teraz to lżej i swobodniej, ale było uciśnienie (...). Pewnego razu zabrali księdza dokument na odprowadzenie mszy. Ludzie w niedzielę przyjechali na rynek i do kościoła, jak się o tym dowiedzieli. Co kto miał w rękach, grabie, widły, łopaty, kosy... napadli na dom picrwszego sekretarza, aż się bał wyjść. Stare babcie kładły się pod samochody i krzyczały 'oddajcie te dokumenty dla księdza'. No i oddali".

— Toż to naród dzielny — skomentowała Konstancja. — A czy Ernesta mieszka jeszcze w Dukielach?

— Mamo, Ernesta, to twoja wnuczka, jest przy tobie. Dukiele teraz w Rosji. A Ernesta mieszka w Warszawie. Doktorat zrobiła.

— Znaczy się, *lekarzem* została? — ożywiła się babcia.

— Nie, mamo. Nauczycielem.

— To i chwala Bogu. A za mąż wyszła?

— Nie.

— A to i chwala Bogu.

Zadali jej jeszcze pytanie, które dręczyło ich od jakiegoś czasu.

— Mamo, jak się nazywa ta wieś, gdzie mama się urodziła? — Wnuczka tej nazwy nie знаła, syn zapomniał. Było mało prawdopodobne, aby i Konstancja ją pamiętała...

— Toż ja urodziła się w Czyszciku — odpowiedziała śpiewnie.

Były to ostatnie słowa, jakie syn i wnuczka usłyszeli od Konstancji. Słowa, które niby klamra, spinały całe jej życie.

Rodzina żyła w smutnym oczekiwaniu, że staruszka umrze lada dzień. Ale ona przeżyła jeszcze dziesięć miesięcy. Nieświadoma wydarzeń przeżyła jeszcze wielki Sierpień, jakby chciała się upewnić, że Naród zacerpnie oddechu i nadziei. Dopiero we wrześniu zabrano ją do szpitala. Odwiedził ją tam Feliks w asyście sióstr. Jego poznała. A zachowanie córek tak skomentowała: „nie powiem, dobre te panie”. Najczęściej doglądała jej córka Teresa, pielęgniarka. Nuciła matce ulubione piosenki, które ongiś śpiewano na dukielskiej werandzie przy, a kompaniamencie gitary Koralkiewicza. Chora przymykała oczy i słuchała z lubością.

W nocy z 23 na 24 października Teresa nachyliwszy się nad matką usłyszała chrapliwy, nieregularny oddech. Przerażona pobiegła po dyżurną pielęgniarkę. Na pomoc było za późno. Konstancja zmarła cicho, bez słowa. Spokojna i ufna, jakby wiedziała, że tego samego dnia w dalekim Watykanie radzili zaczęli dwaj wybitni Synowie Polski: Prymas Tysiąclecia i Słowiański Papież.

Wiść o śmierci „babci kleryckiej” obiegła wszystkie diecezje. Organizacyjną stroną pogrzebu zajął się zięć Antoni, „bardzo uczciwy człowiek, cichy bohater, który nie pragnął rozgłosu”, jak ocenił go Nikodem. Na pogrzeb do Słupska zjechało około 50

księży i kleryków z całej Polski. Smutna ta uroczystość, według życzenia Konstancji, miała być nader skromna. Tymczasem oprawa, jaką nadali jej księża sprawiła, że pogrzeb bardziej przypominał średnio-wieczne misteria, niż pochówek z końca XX wieku.

Rano, 27 października odbyła się msza św., na której jeszcze nie wszyscy żałobnicy zdążyli się zgromadzić. Potem czuwanie przy zwłokach ubranych w prosty, franciszkański habit. W cmentarnej kaplicy stało wokół trumny pięć krzesel przeznaczonych dla dzieci Zmarłej. To piąte, puste, tylko symbolicznie przeznaczone było dla Julii, zmarłej o kilka lat wcześniej. Wnuczka Lola wspomina, jak to grupa żałobników stłoczona wokół trumny odmawiała różaniec. „Wtedy właśnie weszła do kaplicy duża grupa księży i kleryków. Mury zdrząły, gdy odezwały się ich piękne, czyste głosy. Serce omal mi nie pękło, nie wiem, z radości i dumy, czy z rozpaczy... Strasznie mi było żal, że już nigdy nie usłyszę głosu Babci, że nie będę mogła z nią porozmawiać... Niektórych kuzynów dziwiła moja rozpacz. Nic dziwnego. Zwłaszcza słyszczanie znali Babcię z tego najmniej wdzięcznego okresu, kiedy była nie-dostępna. A ja wciąż słyszałam ten jej ciepły głos sprzed lat i to białoruskie śpiewanie”.

Kondukt pogrzebowy zmierzający w stronę grobu był majestatycznym widowiskiem. Zanim zmarłą pochowano, dwaj księża wygłosili mowy nad otwartą mogiłą. Przypominano i podsumowywano rolę, jaką Konstancja odegrała w historii najnowszych dziejów Kościoła w Polsce. Podkreślano, w jak szczególnym momencie odeszła. „Nie będzie mnie, nie będzie kleryków” często mawiała. I to jej proroctwo spełniło się bardzo dokładnie. Na parę miesięcy przed jej śmiercią ostatni klerycy opuścili koszarę. Jeden z księży powiedział nad grobem: „Rok, w którym zmarła babcia jest rokiem nadziei, bo oto po osiemnastu latach zwolniono nareszcie kleryków z przymusu odbywania służby wojskowej”.

Nie zabrakło też w czasie pogrzebu elementu humorystycznego. Ksiądz K. przypomniał, naśladując kresową melodykę Konstancji, jak ta podejmując u siebie ówczesnego kardynała, a obecnego papieża oferowała „kochanieńkiemu” herbatkę z marchwi...

Po pogrzebie odbyło się uroczyste nabożeństwo, po którym wszystkich duchownych zaproszono na stypę.

Nie wszyscy księża zdążyli dowiedzieć się o pogrzebie, czy dojechać na czas. Niektórzy, zdezorientowani, pojechali do Bartoszcyc. Ci odprawili nabożeństwo żałobne wespół z proboszczem bartoszczykim po jego powrocie ze Słupska. W różnych stronach Polski odbywały się msze św. za spokój duszy Konstancji.

I tak odeszła na zawsze. Miłosierna, jak pierwszy chrześcijanie, harda i porywca niczym sarmacki szlachciura, ascetyczna jak człowiek średniowiecza, uosobienie gościnności; w stosunku do jednego sroga i oschła, w stosunku do innych tkliwa i pełna ciepła; czasami pobłażliwa, czasami nietolerancyjna; zawsze sprawiedliwa i wytrwała, często zaborcza i despotyczna; silna i pełna optymizmu... groźna, dowcipna, łagodna — barwna, niezwykła osobowość złączona ze sprzecznych(?) elementów. Wiele cech jej charakteru odziedziczyły dzieci i wnuki — ostatni już przedstawiciele wygasającego rodu Skur-



jął. Lecz nie o dobrach doczesnych i nie o wię-  
zach krwi chcę tutaj mówić.

Konstancja jest założycielką rodu bardzo szcze-  
gólnej natury. Rodu, w którym coś więcej, niż wię-  
zy krwi się liczy. Jest to nader liczebny ród „wnu-  
ków wyrosłych na posługę Bożą”. Wnuki owe prze-  
trwały trudny czas próby, a święcenia kapłańskie  
otrzymawszy wspierają moralnie, wiarę krzewią i  
pielegnują wśród ludzi i w Polsce, i na emigracji  
i na placówkach misyjnych nawet w najdalszych  
i najmroczniejszych zakątkach świata.

I tylko jeden wnuk, ksiądz Jerzy, odszedł w cze-  
ry lata po niej pozostawiwszy nam wszystkim dzie-  
dzictwo niezwykle i nieprzemijające — dziedzictwo  
ofiary, godności i wiary.

*Sydney, październik 1984 — grudzień 1986.*

#### APPENDIX

*DZISŁAW SZUBA*

*Babcia klerycka i wnuki wyrosłe na posługę*  
„Słowo Powszechne”, 1981 r., nr 26 (10514), s. 7.

„Pierwsi klerycy w N. na Mazurach zjawili się w  
latach sześćdziesiątych. Było ich najpierw czterech,  
niebawem liczba ich wzrosła do 50, by w latach  
siedemdziesiątych zwiększyć się do 300. Pochodzi-  
li z wyższych seminariów diecezjalnych i zakonnych  
rozsianych po całym kraju. Mieli za sobą dopiero  
rok lub dwa lata studiów teologicznych, które pran-  
gęli kontynuować, jak też kształtować swą ducho-  
wą formację w kierunku przyszłej posługi kapłań-  
skiej. Jakże trudne to było zamierzenie w warun-  
kach obcego środowiska mającego wobec nich zgo-  
ła odmienne plany . . .

Zyla też tu Konstancja Skurjat, nabożna, ale i  
nieustraszona niewiasta. Przybyła tu ze swych ro-  
dzinnych Dukieli koło Braławia na Wileńszczyźnie  
w r. 1952. Wychowała już własnych dziewięcioro  
dzieci, miała liczne wnuki i prawnuki. Jej syn Fe-

liks, dziś już emerytowany pracownik służby wete-  
rynaryjnej, zamieszkały także w N., mówi iż matka  
zawsze opiekowała się klerykami. Tak było w jej  
rodzinnej diecezji nad Wilią, tak też było nad Ły-  
ną, w miejscu jej nowego osiedlenia. Tutaj klerycy  
znaleźli się jednak w zasięgu jej bezpośredniego od-  
działywania. Ileż to roczników kleryckich związanych  
z tym miejscem dziś już przeważnie kapłanów róż-  
nych diecezji i zgromadzeń zakonnych, zachowuje  
ją we wdzięcznej pamięci wraz z pamiątkowym tab-  
leau, jak to z lat 1974-1976. Zdjęcie Konstancji  
Skurjat, Babci widnieje na nim obok podobizny Oj-  
ca św., Prymasa Polski i kapłanów wychowawców  
młodych alumnów. Bo też ci klerycy — jak twierdzi  
ich były ks. Moderator — uważali ją swą wycho-  
wawczynią na równi z innymi dojeżdżającymi tu z  
Hosianum wykładowcami i wychowawcami. Znana  
jest w kraju, w zakładach seminaryjnych, wśród bi-  
skupów i duchowieństwa, jako „Babcia klerycka”.

Konstancja Skurjat pierwsza roztoczyła opiekę nad  
przybyłymi tu klerykami. Do ich całkowitej dyspozy-  
cji oddała swe małe mieszkanie w czynszowym do-  
mu, składające się z pokoju i kuchni. Tutaj przy-  
bywający klerycy mogli zjawić się o każdej porze  
dnia i nocy, znaleźć nie tylko ciepły i spokojny kąt,  
świeżą strawę, lecz przede wszystkim życzliwe ser-  
ce, psychiczne wsparcie, którego może najbardziej  
im brakowało.

Babcia Konstancja umiała wszystko do właści-  
wych wymiarów sprowadzić, zarazić optymizmem,  
wiarą w ludzi i w sens ponoszonych ofiar. Pozwo-  
liła zapomnieć o trudnościach, wspomina alumn,  
kontynuujący jeszcze naukę już w swym rodzinnym  
seminarium diecezjalnym.

*(dokończenie w następnym numerze)*

*Przez Najświętsze Serce Jezusowe oddamy świat  
z powrotem Bogu, jeżeli się sami przez to Boskie  
Serce uświęcimy w nieskalanym duchu Ewangelii.*

*kard. August Hlond*

## DELTA OVERSEAS TRAVEL SERVICE

Myślisz o sprowadzeniu bliskich na wypoczynek do Australii?

*A Twój budżet na to nie pozwala?*

**DELTA JEST BIUREM KTÓRE ROZUMIE TWOJE MOŻLIWOŚCI.**

MAMY DLA CIEBIE PROPOZYCJĘ:

**3 MIESIĄCE W AUSTRALII**

**1295 AUD**

WYLOT Z POLSKI W CZERWCU — POWRÓT DO POLSKI WE WRZEŚNIU

ZAPRASZAMY DO NASZYCH BIUR:

<b>BANKSTOWN</b>	<b>SYDNEY</b>	<b>BLACKTOWN</b>	<b>FAIRFIELD</b>	<b>NEWCASTLE</b>
12 Fetherstone St.	428 George St.	16 Main St.	4a Dale St.	468 Hunter St.
Tel. 796 7264	Tel. 27 9446	Tel. 622 5293	Tel. 726 9451	Tel. 29 2713

# KONSTANCJA - BABCIA KLERYCKA

- DOKOŃCZENIE -

Była nieustraszona tak wobec tych, którym nie podobała się jej własna postawa, jak też wobec tych, którzy szczególnie złośliwie starali się uprzykrzyć życie jej kleryków. Właśnie dla nich nie godziła się opuścić swego mieszkania i przenieść się do syna na inną ulicę, czy do córek zamieszkałych aż w Słupsku. Mawiała „tam moi klerycy nie przyjdą”. Trwała na posterunku, choć, będąc już ciężko schorowaną, sama wymagała opieki, którą nad nią roztaczali właśnie klerycy. Rozwiązanie sytuacji widziała tylko jedno: nie będzie mnie, nie będzie już tu kleryków. Prawie tak się stało. Córka, podstępem, pod pozorem wizyty u lekarza, wywiozła ją do swego domu w Słupsku. Na Wielkanoc 1980 roku ostatni alumni powrócili z N. do swych właściwych seminarium.

Oczywiście, alumni opiekowała się nie tylko Babcia Skurjat. Wiele serca okazywały im inne sędziwe niewiasty z żywego różańca i III Zakonu Franciszkańskiego jak Stefania Arwężn, Stanisława Szawłowska, Joanna Kozłowska czy Jadwiga Kowalczevska. Siostry Serafiki (Zgromadzenie Sióstr od Matki Bożej Bolesnej Trzeciego Zakonu Regularnego św. Franciszka), podobnie jak Konstancja Skurjat, dla potrzeb kleryków oddały całe swe pomieszczenie, zachowując dla siebie jeden tylko pokój klauzurowy. Klerykami zajęły się też władze kościelne. Reerygowana w roku 1973 parafa św. Jana Chrzciciela, której odnowiony kościół gotycki stał się jakby równocześnie kościołem seminarijnym. Po przekazaniu przez władze państwowe budynku parafialnego przy tej świątyni, po jego restauracji stał się on jakby seminarium duchownym, którym opiekowali się miejscowi proboszczowie oraz zatrudnione w parafii siostry serafiki, a zwłaszcza s. Fortunata Czajkowska, s. Aniela Janisława Mossakowska i s. Bonifilia Banaszak.

Władze diecezjalne, ówczesny ordynariusz warszawski bp Józef Drzazga oraz Wyższe Seminarium Duchowne „Hosianum” z Olsztyna czyniły wszystko, aby zapewnić alumnom możliwość nauki. Moderatorami, to jest ojcami duchownymi alumnów byli tu kolejno: ks. Janusz Wysocki (obecnie proboszcz w Tychnowicach k. Kwidzyna), ks. Kazimierz Torla (obecnie profesor w polonijnym seminarium w Orchard Lake w USA) i ks. dr Adolf Setlak, od r. 1969 ojciec duchowy i prefekt od chwili reerygowania parafii św. Jana Chrzciciela jej proboszcz.

Swymi alumniami interesowali się żywo również biskupi poszczególnych diecezji oraz przełożeni zgromadzeń zakonnych, często ich odwiedzając w N. Trzykrotnie przebywał tu ówczesny arcybiskup metropolita krakowski kard. Karol Wojtyła, obecny Papież Jan Paweł II, który na spotkaniu z polskimi klerykami na Jasnej Górze w r. 1979, widząc trans-

parent z napisem „Alumni — żołnierze z Ojcem św.”, powiedział, iż gdyby papież nosił transparenty, to widniałby na nim napis „Papież z alumnami — żołnierzami”. Odwiedził on, podobnie jak inni biskupi, babcie Skurjat, by jej osobiście podziękować za opiekę nad klerykami archidiecezji krakowskiej. Podejmowała go jak wszystkich pogodnie i z całą kresową gościnnością. Miała ponoć w czasie pierwszej wizyty powiedzieć dostojnemu Gościowi, iż ona, zwykła kobieta na pewno go nie ukontentuje rozmową, lecz że w jej domu zapewne lepszą niż gdziekolwiek indziej może wypić herbatę.

We wspomnieniach wszystkich Konstancja Skurjat, Babcia klerycka pozostała jako osoba o niezłomnej nigdy pogodzie ducha, niespożytej energii, nieustraszonej postawie. Kiedy w roku 1970 zaczęła już mocno odczuwać dolegliwości choroby reumatycznej, nie poddawała się cierpieniom, lecz znosiła je mężnie i spokojnie, ofiarowując je za swych ukochanych kleryków, za to, by wytrwali w swym powołaniu i żeby potem byli dobrymi kapłanami. Zmarła 24 października 1980 roku w wieku 89 lat. Na jej pogrzebie w Słupsku — jak mówią — było więcej księży jak osób świeckich. Do grobu złożona została w prostym franciszkańskim habicie.

Zapewne ci wszyscy, którzy tak wiele jej zawdzięczają nie tylko w realizacji swego powołania kapłańskiego, lecz po prostu przez spotkanie w jej osobie życzliwego powiernika, przyjaciele tak pożądanego w chwilach ciężkich prób skreślą obszerniejszą i pełniejszą jej biografię. Godna jest ona znalezienia się w jednym z tomów cennego wydawnictwa Akademii Teologii Katolickiej pt. „Chrześcijaństwo”, wydawnictwa, które za cel postawiło sobie ukazywanie współczesnych nam ludzi kierujących się w swym życiu ewangelicznym prawem miłości, a tym samym szerzących chrześcijańskie wartości. Taka biografia, zbiór wspomnień byłby nie tylko oddaniem prawdy o śp. Konstancji Skurjat, lecz jakże istotnym przyczynkiem do najnowszych dziejów Kościoła na naszej ziemi. ”

## ✻ POSŁOWIE ✻

Natłok wydarzeń w Kraju, miliony wiernych i teraźniejszość zaprzętają uwagę kapłanów. Na wspomnienia, a zwłaszcza pisane trudno im znaleźć odrobinę czasu. Któż miał wziąć sobie apel redaktora Z. Szuby do serca, jeśli nie wnuczka? Do pracy nad pełniejszą biografią Konstancji pragnęłam zabrać się jak najszybciej, lecz niesprzyjające okoliczności spowodowały kilkuletnie opóźnienie.

Rok 1981 upływał pod znakiem przygotowań naukowych i organizacyjnych do długiego pobytu w Afryce. Szalone (sic!) tempo pracy w tropiku pozostawiało mi niewiele wolnego czasu i energii. Po-

nadto zbieranie materiałów drogą korespondencyjną — kaprysy cenzury! — zdawało mi się przedsięwzięciem z góry skazanym na niepowodzenie. Sądziłam, iż szybciej i sprawniej będzie wziąć się do dzieła po powrocie do Kraju. Lecz stało się tak, że nie powróciłam.

We wrześniu 1984 roku wylądowałam w Sydney. W październiku przeżyłam wstrząs spowodowany śmiercią ks. Jerzego, który był także wychowankiem mojej babci. Był to przełomowy moment: ani czas, ani odległość, ani cenzura nie miały już prawa wchodzić w grę. Rozpoczął się żmudny, mozolny proces nawiązywania kontaktów, zdobywania adresów, zbierania materiałów. Listy i ankiety do respondentów, adresowane i bezpośrednio i pośrednio wędrowały zarówno pocztą, jak i w cudzych walizkach. Wysyłałam je także do innych krajów, gdzie posłannictwo swe pełnią księża, którzy babcię dobrze znali.

Z wielu powodów odpowiedzi było niewiele. Niektóre adresy okazały się nieaktualne. Respondenci z Polski — w obawie przed reperkusjami — odpowiadali krótko i zwięźle, lub wcale. Wielu obiecywało spisać wspomnienia w wolnym czasie — lecz widać go nie znaleźli. Niektórzy krewni, z sobie tylko znanych powodów rodzinnych lub ideologicznych, odmówili wypełnienia ankiety, bądź napisali tylko tyle, ile mogli. Część materiałów dotarła do mnie pocztą, część zaś wędrowała z „kurierami” po różnych kontynentach, aby z dużym opóźnieniem „szukać” mnie tutaj pod wciąż zmieniającymi się adresami. Niektóre materiały bez wątpienia zatrzymała cenzura. Efekt dwuletniego korespondowania jest, moim zdaniem, ubogi. Niemniej jednak jestem serdecznie wdzięczna wszystkim tym, którzy choćby po cegiełce małej przysłali. Niedobory korespondencyjne dobry Bóg wynagrodził mi bezpośrednimi i bardzo szczegółowymi relacjami kapłanów spotkanych na terenie Australii.

W sumie ta niewielka książeczka oparta jest głównie na wspomnieniach najbliższej rodziny, nielicznych listach od krewnych z Wileńszczyzny, listach pisanych przez kleryków i księży, a zachowanych w rodzinnych archiwach, na pamiętnikach i zapiskach kleryków udostępnionych mi przez władze seminariów, nielicznych pisemnych relacjach księży z Polski i spoza Polski oraz kilku relacjach ustnych.

Biografię tę otwierają opowiadania o młodości i małżeństwie Konstancji. Okres życia na Wileńszczyźnie poprzez wojnę i „repatriację” stanowi znakomity obraz zarówno przemian charakterologicznych Konstancji, jak i wpływu czynników społeczno-politycznych na jej totalne — w przyszłości — poświęcenie się klerykom. Część pierwsza, tylko pozornie niezwiązana z okresem późniejszym, jest o tyle istotna, iż niejako poprzez kontrast pozwala nam odkryć w Części Drugiej tę „nową” Konstancję: uwypukla dramatyzm jej życia i tę niezwykłą jego pointę.

Część druga, z braku materiałów, ogranicza się w zasadzie do wydarzeń z lat 1964-1968. Chciałabym kiedyś uzupełnić luki z kolejnych kilkunastu lat — zależy to jednak od tego, czy odezwą się współbohaterowie tej opowieści. W Części tej sporo miejsca poświęcono opisom życia kleryków w

koszarach. Czytelnik może się dziwić, czy jest to opowieść o klerykach, czy o babci. Piszę i o nich i o niej. O niej w kontekście kleryków — i o klerykach w kontekście koszar. Tylko taka strukturalna całość może dać w miarę wierny obraz tej unikalnej roli, jaką babcia odegrała w najnowszych dziejach Kościoła polskiego.

Na życie każdej osoby, także i duchowej składają się przeróżne elementy: powszedniość i święto, humor i powaga, proza i wzniosłość. Ukazałam każdy z tych aspektów z humorystycznym włączeniem — nie z braku szacunku dla stanu kapłańskiego, ale dla zrekonstruowania złożonego charakteru kondycji ludzkiej. Wiem, że nadmierne „uszytywienie” opowieści nie byłoby w stylu Babci.

Ze zrozumiałych względów starałam się zachować anonimowość większości respondentów.

I ostatnie słowo. Nie byłoby tej książki, gdyby nie pomoc mojego ojca, Nikodema. Mimo podeszłego wieku, niezbyt dobrego stanu zdrowia jeździł po Polsce i zbierał materiały. Był moim pośrednikiem, skrzynką kontaktów, gońcem, kurierem, kronikarzem. Za cały jego trud w budowaniu książki-muzeum, za podejmowanie ryzyka należą mu się wyrazy uznania, podziwu i podziękuję, co niniejszym czynię.

E.S.

PIŚMIENIA  
PRZEDMIENNIK '84 - LIPIEC '86  
W SYDNEY

Prze... ty Sioux — za-  
kochała... chciała wyjść  
za niego... władca lu-  
kiem i niez... na zwierzy-  
nę. Lecz ojciec... wiadomie-  
nie, że musi pr...  
Natychniast za... wszy-  
stkich prób, na ja... aj-  
pierw strzelał do szy...  
gromadził ich mnóstwo...  
cał następnie kamienie na...  
cał ich liście na ziemię. Za...  
czeń myślą, że córka wodza...  
dziewczyną ze wszystkich szczę...  
dzie ten, co zdobędzie jej rękę...  
pod wigwam wodza, gdy tylko nade-  
kazja.

Pewnego dnia spotkał tam obcego pr...  
zdrowili się wzajemnie i usiedli na ziemi... y so-  
bie porozmawiać.

— Zaprosił mnie wódz — mówił młody wojownik — abym pokazał swoje zdolności przy używaniu łuku. Jeżeli przypadnę mu do gustu wtedy będę mógł poślubić jego córkę. Czy ty nie chciałbyś być przypadkiem na moim miejscu?

Przybysz uśmiechnął się i odparł:  
— Nie sądzę, żebyś był w stanie zdobyć rękę córki wodza, zanim przede mną nie pokażesz swoich sprawności. Spróbuj dla przykładu trafić w najwyższą gałąź tego oto drzewa. — I pokazał mu smukłą sosnę, sięgającą niemal chmur.

Młody wojownik sięgnął zaraz po strzałę i ustawił się do celowania. Wypuścił grot z cięciwy i dokładnie wbił go w gałąź wysoko nad głową. Niezna-

...powiedział, iż gdyby papież nosił transparen-  
-y, to widniałby na nim napis „Papież z alumni-  
— żołnierzami”. Odwiedził on, podobnie jak inni  
biskupi, babcię Skurjat, by jej osobiście podzięko-  
wać za opiekę nad klerykami archidiecezji krakow-  
skiej. Podejmowała go jak wszystkich pogodnie i z  
całą kresową gościnnością. Miała ponoć w czasie  
pierwszej wizyty powiedzieć dostojnemu Gościowi,  
iż ona, zwykła kobieta na pewno go nie ukontentuje  
rozmową, lecz że w jej domu zapewne lepszą niż  
gdziekolwiek indziej może wypić herbatę.

We wspomnieniach wszystkich Konstancja Skur-  
jat, Babcia klerycka pozostała jako osoba o niezma-  
conej nigdy pogodzie ducha, niespożytej energii,  
nieustraszonej postawie. Kiedy w roku 1970 poczę-  
ła już mocno odczuwać dolegliwości choroby re-  
umatycznej, nie poddawała się cierpieniom, lecz  
odważnie i spokojnie, ofiarowując je za



*Ernestyna Skurjat*  
**BABCIA KONSTANCJA  
KLERYCKA**